

XXVII OGÓLNOPOLSKI  
KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

LĘBORK, 23 LISTOPADA 2012 R.



Sasha  
2012

## ORGANIZATORZY

Burmistrz Miasta Lęborka  
Rada Miejska w Lęborku  
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego  
Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana  
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku  
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie  
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku  
Lęborskie Centrum Kultury „Fregata”

## KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego  
Samorządu Powiatu Lęborskiego  
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku  
Katolickiego Stowarzyszenie Civitas Christiana w Gdańsku



PATRONAT HONOROWY:

MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Patronat medialny DZIENNIK BAŁTYCKI

LĘBORK NEWS.PL



Shudewika  
T=... 1112017

\* \* \*

*dzień po dniu  
jestem już bliżej  
najbliżej milczenia  
aż tyle trzeba słów  
żeby odchodzić  
najciszej  
aż tyle trzeba słów  
żeby pożegnać  
po prostu  
gestem*

*Mieczysław Stryjewski*

## JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący

Daniel Odija

Bożena Ugowska

Wojciech Wencel

## LAUREACI

*Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego*  
**Bartosz Jastrzębski** (Wrocław)

W KATEGORII POEZJI:

*I nagroda Burmistrza Miasta Lęborka*  
**Katarzyna Zychla** (Żary)

*II nagroda Przewodniczącego Rady Miejskiej w Lęborku*  
**Marek Kowalik** (Zawiercie)

*III nagroda*  
**Anna Piliszewska** (Wieliczka)

W KATEGORII PROZY:

*I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego*  
**Alfred Siatecki** (Racula)

*II nagroda Przewodniczącego Rady Powiatu Lęborskiego*  
**Anna Karolewska** (Szczecinek)

*III nagroda*  
**Alina Mendrala** (Lubenia)

NAGRODY SPECJALNE

*Burmistrza Miasta Lęborka*  
**Małgorzata Borzeszkowska** (Lębork)

*Nagroda im. Józefa Majkowskiego*  
*Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku*  
**Stanisław Zasada** (Poznań)

*Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego*  
**Hanna Makurat** (Lisie Jamy)

*Oddziału Miejskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku*  
**Julia Formela** (Gowidlino)





# NAGRODA GRAND PRIX MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

## BARTOSZ JASTRZĘBSKI

### STAMBUŁ

Stambuł rośnie. Puchnie i rozlewa się na spalonych słońcem wzgórzach, zagarnia ich łagodne stoki porośnięte umarłą, żółtobrazową niczym skóra starca trawą. Suchy wiatr liże pagóry, prześlizgując się nad wąskim przesmykiem łądu pomiędzy dwoma akwenami: podobnym jezioru, niewielkim i spokojnym, oranym jedynie przez ospałe cielska tankowców i drobnicowców Morzem Marmara, a wietrznym, granatowym i ciepłym jak zupa Morzem Czarnym. Już wiele kilometrów przed historycznym centrum poczynają tłoczyć się rzędy identycznych, ochrowych domków o czterospadowych, kwadratowych dachach, krytych trochę niestaranną, piaskową i rudą dachówką. Gdzieniedzie wystrzelają w górę zwarte gromady wielopiętrowych, kanciastych bloków niczym wyniosłe wieże czat pośród bezkresu budowlanej mizerii. Z górnych okien tych wież, spoglądając ku południowi, dojrzeć można lazurowy lej, miejsce, w którym śródlądowe Marmara staje się Bosforem. Wlot cieśniny nakrapiany jest gęsto czarnymi punkcikami oczekujących na pozwolenie przemierzenia przesmyku statków - małych, dużych i bardzo wielkich, drzemiących leniwie w gorącym, azjatyckim już słońcu. Widoczność jednak słaba, wszystko spowite delikatnym woalem bladej mgiełki. Upalny podmuch, czy to od strony płaskiej, zbierającej w sobie żar niecki Niziny Południowotrackiej czy to dmący z południa, pomiędzy białych, bezleśnych gór Azji Mniejszej, w odwiecznym nienasyceciu wypija bowiem i rozpuszcza w sobie morską słońca toń, a niekiedy też niesie ze sobą mikroskopijne drobinki piasku porwane z pustyni Azji i Afryki. Zieleni - letnią porą - nie ma tu żadnej, nie uświadczysz drzew, z krzewów dostrzec można tylko kolczaste suchorosty, przyprószone jakby kredą upału, zamknięte w sobie w oczekiwaniu na chłód i deszcz, które pojawiają się dopiero późną jesienią.

Forpocztą Stambułu, wymowną zapowiedzią innego już niż europejski świata jest Edirne, niegdyś Adrianopol. Miasto pogranicza, chwalcące Niebo lasem minaretów, w szczególności tymi najokazalszymi, przy meczecie Selimiye,

górującym nad starym miastem. Każdy z nich ma blisko 71 metrów i są to najwyższe minarety w świecie islamu, sięgające jakby samych stóp Bożych. Sama zaś kopuła jest potężniejsza niż ta w przesławnej Hagii Sophii. Sułtan chciał, by chwała islamu widoczna była na europejskim pograniczu świata Osmanów. I cel swój poprzez budowlę osiągnął. Niespełna 50 lat później Edirne (Adrianopol) znów miało zabłysnąć blaskiem potęgi, stąd bowiem właśnie sułtan Osman II, na czele swej armii wyruszył by zanieść islam nad Bałtyk, by nad zimnym północnym morzem załopotać Półksiężyc islamu. Po drodze jednak pisane mu było skrzyżować szable z Chodkiewiczem – twardym hetmanem z puszczy litewskich – podczas pierwszej bitwy chocimskiej. Tam wszakże dzielny rycerz położył zapórę mocy Osmanów. I Półksiężyc nie napił się wód Bałtyku.

Edirne to jednak tylko zapowiedź. Droga moja wiedzie do legendarnego Konstantynopola, który na skutek dramatycznych wydarzeń roku 1453 stał się Stambułem. 29 maja tegoż roku, po dwumiesięcznym niemal oblężeniu i heroicznej walce obrońców Mehmed II odebrał bowiem miasto Europie. Bo wewnątrz skłócona Europa na pomoc Miastu nie przyszła. Łacinnicy woleli ujrzyć stolicę Bizancjum w rękach muzułmanów niż wschodnich chrześcijan.

Wszystkich obrońców miasta było siedem tysięcy: prócz Greków także genueńscy, weneccy i katalońscy najemnicy w liczbie około dwóch tysięcy. Twardzi, zdyscyplinowani, bitni i żądni nagród obiecanych przez cesarza w razie zwycięstwa. Atakujących zaś było mrowie dobrze powyżej stu tysięcy. Mehmed II zgromadził ów bezlik z dawna bowiem marzył o Konstantynopolu. Nie tylko dlatego, że chciał raz na zawsze usunąć resztki państwa, z którym Osmanowie wojowali od wieków, nie tylko dlatego, że dla siebie pragnął niebiańskiego miasta. Było to coś więcej niż zwykła imperialna zachłanność na kolejne ziemie i zamożne grody. Miał on wszak powód także osobisty. Otóż trzydzieści lat wcześniej jego ojciec, Murad II poniósł pod tymi samymi murami sromotną klęskę. Co więcej, w roku 1390 potęgę twierdzy musiał uznać także jego pradziad Bajazyd I zwany Błyskawicą. Chodziło zatem o honor rodziny. A honor, na Wschodzie, to rzecz najważniejsza. Płonęło tedy serce sułtana, wyobrażenie przyszłej glorii paliło umysł jak grecki ogień, nie pozwalało jeść ni spać. Jego zwycięstwo miało zetrzeć ślady porażek przodków. Innego wyjścia nie było. Do bitwy musiało więc dojść, liczba ofiar była bez znaczenia.

Większość obrońców zginęła na murach, nie wyłączając samego władcy do końca broniącego odwiecznego Cesarstwa. W wigilię tego dnia wygłosił on swą słynną mowę, która za sprawą Gibbona przeszła do historii jako „Epitafium dla Cesarstwa Rzymskiego”. Wspominał on w niej minioną chwałę Imperium, wzywał do ostatecznego boju, do bohaterskiej śmierci, nie warto bowiem żyć w ciemnościach barbarzyństwa, niepodobna gdy wali się świat. Rzym był Światłem – teraz nadejdzie era Mroku. Dworzanie, urzędnicy i obrońcy, którzy

nazajutrz mieli oddać swe życie płakali – płakało Śródziemie. Kronikarz czasu oblężenia Nicolo Barbaro notował, iż w przeddzień Upadku „kiedy odtrąbiono sygnał alarmowy, wzywając wszystkich na stanowiska [...] kobiety, a nawet dzieci, nosiły kamienie na mury i kładły je na parapetach, skąd mogły być ciskane w dół na Turków”<sup>1</sup>. „Bohaterski cesarz Konstantyn XI, który zagrzewał do oporu, zginął podczas ataku, a jego ciała nigdy nie odnaleziono, co zrodziło bizantyjską plotkę, że zapadł się w głąb murów i wróci. W noc przed ostatecznym atakiem wyjechał na ostatni objazd umocnień ze swym doradcą, Jerzym Sfrantzesem, który opisuje, jak patrząc na olbrzymie obozowisko Turków, ich ogniska i przygotowania, zrozumieli, że jedynie boska interwencja mogłaby ocalić Bizancjum. Zamiast tego miasto zostało poddane trzydniowej grabieży, w której Sfrantzes i wielu innych trafiło do niewoli. Gdy w końcu Mehmed II osobiście wkroczył do miasta, niektóre relacje twierdzą, że zapłakał nad zniszczeniami i nad pięknem budowli; inni wspominają, że Turcy przebierali się, a nawet swoje psy w kościelne szaty, wrzucili wszystkie ikony do wielkiego ogniska, nad którym piekli mięso i pili nierozcieńczone wino z kielichów mszalnych”<sup>2</sup>. Zginęli niemal wszyscy Grecy, nieliczni uciekli morzem, niosąc światu wieść o zagładzie Miasta i Cesarstwa. Nie ostatni to raz Zachód przyglądał się z obojętnością katastrofom mającym miejsce na Wschodzie. Dlatego teraz jadę do Stambułu – nie do Konstantynopola. A być może i dlatego podczas II wojny światowej alianci lądowali na Sycylii, a nie w Grecji.

\*\*\*

Autostrada wiodąca ku centrum miasta już na dalekich przedmieściach dławi się i zapycha gęstniejącą rzeką pojazdów, pośród których zwracają uwagę niezliczone busy, busiki i rozmaite ciężarówki, po większej części solidnie spracowane, odrapane, zmęczone i przykurzone codziennym oddechem miasta, gwizdzące przy tym niemal nieustannie wysokim zaśpiewem klaksonów. Kierowcy trąbią na potęgę, jakby dźwiękami tymi potrafili przekazać najbardziej złożone informacje, najróżniejsze emocje i nastroje. Są trąbienia gniewne i przyjacielskie, są pozdrowienia i podrywy, ostrzeżenia i zachęty, żarty i groźby. Ta rzeka aut to krwiobieg metropolii: załadowane po brzegi paki, uginające się od ciężarów osie, przeładowane do granic bagażniki dostarczają jej dzień w dzień wszystkiego co niezbędne: od najnowszej elektroniki i luksusowych garniturów począwszy po dętki do niezliczonych dwukótek i wózków, którymi drobni sprzedawcy dowożą towar na swe stoiska lub miniaturowych sklepików.

Gąszcz domów i kamienic coraz większy. Stają się one także coraz wyższe. Nie wyglądają na zbyt solidne: okna są duże, niekoniecznie całkiem w jednej

---

1 Cyt. za: J. Herrin, *Bizancjum. Niezwykłe dziedzictwo średniowiecznego imperium*, przeł. N. Radomski, Rebis, Poznań 2009, s. 369.

2 Tamże, s. 370.

linii sytuowane, mury niezbyt grube, dachy chwiejne, kryte papą, blachą z płatami złączącej minii, lub falującą nieco dachówką. Ulice te to albo szerokie propekty, albo wąskie przesmyki tonące w głębokim cieniu. Według oficjalnych danych żyje tu prawie piętnaście milionów ludzi i co roku przybywa ich około pięćset tysięcy. Głównie przybyszów z ubogich, rolniczych prowincji: Anatolii czy Kurdystanu. Co roku wyznacza się w związku z tym tysiąc nowych ulic. W oficjalnych wystąpieniach przedstawiciele magistratu nie ukrywają swych ambicji: w ciągu najbliższych dwudziestu lat Stambuł ma osiągnąć trzydzieści milionów mieszkańców i stać się największym miastem na świecie. Jest to jedno z haseł wyborczych obecnej ekipy rządzącej miastem. Stambuł – największy na świecie. Duma Turcji, perła Śródziemia.

Dla mnie jednak prawdziwe miasto rozpoczyna się gdy mijam ruiny starożytnych Murów Teodozjusza, wzniesionych w latach 412-439 naszej ery, zakreślające obszar starożytnej warowni. Teodozjusz II człowiek słabego charakteru, chodzący na smyczy starszej siostry i żony, nie lubiący Żydów (usunął ich ze wszystkich urzędów), lecz wielbiący naukę (ufundował w 425 roku pierwszy uniwersytet) pozostawił miastu po sobie nadzwyczajną, cenną i użyteczną pamiątkę. W momencie powstania bowiem umocnienia te czyniły Konstantynopol najpotężniejszą twierdzą świata. Warownią właściwie nie do zdobycia. Ten mur miał na wieki trwać i na wieki bronić mieszkańców Miasta, o niego miała się roztrzaskać wszelka zawierucha i wojenny mór. Nim Miasto upadło poległy u stóp tych umocnień dziesiątki tysięcy przodków dzisiejszych jego mieszkańców. Wszystko to dziś porośło suchymi trawami, oblepione kamienicami po obu stronach. Wokół toczy się normalne, codzienne życie: dzieciarnia bawi się w koronie postrzępionych murów, pranie powiewa na sznurkach rozwieszonych pomiędzy oknami, pucułowaty mężczyzna nurkuje pod maskę starego Mercedesa, młodzieniec w rozpiętej do połowy koszuli, rozprawiając z ozywieniem przez telefon, kuca oparty o worki cementu. Zakwefiona kobieta usiłuje zapanować nad trzema rozbieganymi malcami...

Za murami rozpościera się już śródmiejska dzielnica Fatih, a jeszcze dalej w kierunku głowy półwyspu pełne światowej sławy zabytków stare miasto: Eminonu wraz z najbardziej znaną swą częścią Sultanahmet. Większość hoteli i pensjonatów usytuowanych jest właśnie tu. Należy skręcić z nadmorskiej obwodnicy, tunelem pod murem i trakcją linii kolejowej przedostać się do wnętrza staromiejskiego interioru. Brukowane drogi wspinają się dość stromo pod górę – stambulski półwysyp jest bowiem znacznie wygrzbiecony. Szczytem garbu biegnie szeroka i ruchliwa Yeniceilirel Caddesi (przechodząca w dalszej części w ulicę Divan Yolu) z charakterystycznymi wężowato długimi tramwajami, a tuż przy niej znajdują się najsławniejsze budowle miasta: Wielki Bazar, gmach Uniwersytetu Stambulskiego, meczet Beyazit, a w końcu centralny plac Sultanahmet, Meczet Błękitny

i wspomniana już Hagia Sophia. Od dolnego przymurza ku wierzchołkowi grzbietu wiodą – niczym żebra starożytnego stwora ku kręgosłupowi górnego prospektu – niezliczone wąskie uliczki. Łbem stworzenia oczywiście wielki kompleks pałacowy Topkapi z rozległym parkiem i latającymi po nim, zielonożółtymi, krzykliwymi, papugami. Park ów to jedno z nielicznych miejsc na starym mieście, gdzie można uwolnić się na moment od gwarne go tłumu, odsapnąć wśród łagodnej zieleni, a nawet poleżeć na trawie. Z dobrodziejstw tych korzystają liczne piknikujące rodziny, rozmarzone w zakochaniu parki, a też całkowicie zakryte czadorami i kwefami kobiety, oddane – jak można sądzić ze skupionej, nieruchomej pozycji ciała – religijnym medytacjom. Ale może i dumaniom całkiem świeckim... Może nawet erotycznym i lubieżnym.. Nie wiadomo – ubiór skutecznie chroni przed wścibskim spojrzeniem, przed ciekawością świata. W każdym razie na wezwanie muezina rozkładają one niewielkie dywaniki i zwrócone w kierunku Mekki składają obowiązkową modlitwę.

Uczucia łatwo można tu dostrzec. Wizja miłości zachłannej, namiętnej, ostatecznej, rozpaczliwej i bolesnej, a nieraz nawet prowadzącej do śmierci z tęsknoty współkształtowała przez wieki muzułmański świat. Jest w tych ludziach coś emocjonalnego, zmysłowo, dotykalnie żywiołowego – ich śmiech, ich płacz, ich pokrzykiwania i wzajemne czułości, ich smutek i podniecenie przenikają całą atmosferę. Wszystko to w dużej mierze dzieje się na zewnątrz, w przestrzeni publicznej, otwartej, na oczach wszystkich. Uczucia – te dobre i te złe – są wszechobecne, ogólnie dostępne jak powietrze i morska toń, jak Słońce. Wibrują nimi ulice targi i nadmorskie przystanie. Tak przynajmniej jawi się to z perspektywy Europejczyka. Choć pewnie i tu najgorsze brudy pierze się w osobności własnego domostwa, i tu niejedno skrzętnie zamiata się pod dywan, by postronni nie widzieli i nie słyszeli. Dramaty, jak zwykle, odbywają się w izolacji czterech obojętnych, zimnych ścian. Mimo wszystko jednak więcej życia tu widoczne, mniej zaś jest wstydlivego ukrywania, gry pozorów, celebracji ról i masek – takiej zwykłej, codziennej społecznej obłudy.

\*\*\*

Wróćmy jednak na stambulskie stare miasto, do jego dolnej części. Przymurze ze swymi małańkimi uliczkami pełne jest rozbieganego, mrówczego życia. Chwile zawieszenia, zatrzymania podkreślają tylko ten wszechobecny, tętniący ruch. Mężczyźni palą papierosy siedząc na progach sklepów i domów; domy, które wyglądają jakby zaraz miały się rozpaść; zakłady rzemieślnicze w suterenach, gdzie krawcy toną pośród gór tekstyliów, a szewcy hańd skórzanymi resztek i zużytych fleków. Guzikarze i kuśnierze. Mała i całkiem mała gastronomia. Dzieci bawiące się na chodnikach, ich matki odpoczywające na ławkach. Latający w te i nazad roznosiciele wody mineralnej. Sprzedawcy precelków, pchający ich stopy na wózekkach, a niekiedy też niosący je w misach

na głowach. Młodzieńcy z belami materiału na ramieniu, dostawcy sklepowi targający skrzynki z towarem. Starzy ludzie spoglądający przez okna, obserwując co dzieje się na ulicy. Niekiedy przesiadują na tarasach, na które przerobiono płaskie papowe dachy. Tam w cieniu wysuszonej, dachowej winorośli grają w szachy lub trwają w intymności własnych tylko myśli, w zapatrzeniu na Bosfor, po którym odwiecznie, nieustannie sunie karawana statków.

Wszystko jest tu jakieś miękkie niczym ciepła woda, plastyczne, giętkie, umowne a równocześnie wyraziste i określone, prowizoryczne, a jednak wiecznotrwałe. Płynne i zastygłe w beczasie. Intensywne i żywiołowe, choć równocześnie melancholijne i nostalgiczne. Zmysłowe i soczyste, a też odległe i zadumane – jakby za lekką mgłą. Niby wielobarwne, a jednak specyficznie monochromatyczne. Szybkie i spowolnione ciężarem dziejów. Otwarte na wszystko i na wszystko hermetycznie zamknięte. To wszakże pozorny chaos – w istocie jest to inny rodzaj porządku. Inny niż ten, który napotkać możemy między Lizboną a Helsinkami. Europejski porządek kojarzy mi się bowiem z geometrią linii prostych, równych i nieugiętych, wydajnych i ekonomicznych (bo najkrótszą drogą osiągających cel); ten stambulski zaś przywodzi na myśl raczej tajemniczą geometrię ruchów turbulentnych, geometrię wirów, cykli i wielokrotnych okrążeń. Poczuc tu też można swoiste odwrócenie od biegu czasu, instynktownie konserwatywne trwanie przy tym co jest i zawsze było, nie zaś wyczekiwanie na to, co dopiero będzie. Po ulicach Stambułu snuje się bowiem huzun. Pamuk powiada o nim: „stambulski huzun zabija wszelką myśl o przeciwstawieniu się jednostki społeczeństwu. Przeciwnie, sugeruje utratę potrzeby walki ze starymi wartościami i obyczajami. Zachęca do poprzestania na małym, wychwala zalety harmonii, monotonii, pokory. Uczy cierpliwego znoszenia biedy i braku uczuć, a także nakłania do oceniania życia i historii w kategoriach odwrotnych niż normalnie – klęska i nędza nie są końcem epoki, ale zaszczytnym początkiem ustanowionym na długo przed ich urodzeniem. Ale to oznaczałoby, że stambulczycy nie traktują huzun jak nieuleczalnej choroby ogarniającej miasto czy nieodwołalnej nędzy, którą trzeba przetrwać jak każdą inną przypadłość, ani nawet jak kłopotliwego bankructwa rozpatrywanego w kategoriach czarno-białych. Oni widzą w nim powód do dumy. Postawa ta jest przeciwieństwem pełnego wiary we własny potencjał indywidualizmu i racjonalizmu...”<sup>3</sup>.

Nie tylko nostalgia i smutek są w tym świecie zbiorowe. Jak wspomniano: życie całe w świecie muzułmańskim jest wspólne. Ta wspólnotowość wywołuje wrażenie jednego, żyjącego organizmu. Jest hipnotycznie pociągająca. Patrzeć na ten tłum to jak wpatrywać się w ogień lub falujące morze. Poczuc to można wyraźnie wieczorami na nadmorskich błoniach. Na nabrzeżu, pośród drzew, na

---

3 Tamże, s. 139-140.

trawie, odpoczywają całe rodziny. Mężczyźni kąpią się, pasjami łowią ryby (po zmroku, wstydliwie jakby sącząc niekiedy piwo), często też strzelają z wiatrówek do małych kolorowych baloników. Kobiety obserwują z uśmiechem wodne, dziecinne harce swoich mężczyzn. Na rozłożonych dywanach przygotowują posiłki, herbata parzy się w samowarach grzanych małymi, płonącymi szczapkami drewna. Na grillach pieką się niepokazne bosforskie rybki lub sztuki mięsa, przełamując swym zapachem woń ciepłego morza i schnących w upale glonów oblepiających beton przystani jachtowej. Mężczyzna gra w piłkę ze swoją córką, podciągającą hidżab, by móc celnie strzelić. Nastoletnie panny, bardziej godnie, grają w badminton. Młodzieńcy spacerują po bulwarze grupkami, pewni siebie, radośni, w najpierwotniejszy sposób witalni. Wszyscy zagadują sąsiadów i zapraszają nawzajem na herbatę lub słodki poczęstunek. Razem, wszystko razem, blisko siebie. Starszy pan rozkłada przenośną huśtawkę, ku której zaraz zbiega się dzieciarnia. Ktoś inny przywozi maluchy na starym i wyliniałym kościstym osiołku. Gdy zapada zmierzch niestrudzeni sprzedawcy herbaty, precli i orzechów przymocowują do pchanych przez siebie dwukółek małe latarenki i dalej snują się po promenadzie. Poławiacz małży wraz ze swym dziesięcioletnim może synkiem także wciąż pracuje: zanurza się w wodach Bosforu w ciężkim, czarnym, starodawnym akwalungu. Do maski chroniącej głowę przymocowany jest długi gumowy wężyk. Na końcu rurki zaś ręczna pompka tłocząca powietrze. Małec, choć wyraźnie opada z sił wciąż wykonuje nią rytmiczne ruchy, dostarczając ojcowskiemu płucom powietrza. Moment nieuwagi, chwilo-we zapomnienie, a nawet niewielka zmiana rytmu natychmiast spowodowałyby śmierć nurka, a wraz z tym samotność, nędzę i bezdomność syna. Chłopiec o poważnej twarzy i klejących się ze zmęczenia oczach będzie pracował do późnego wieczora, gdy w końcu wraz z ojcem, ślaniającym się ze zmęczenia, popcha dwukólkę z małżami w kierunku rybnego targu. A przechodnie na bulwarze ze zrozumieniem będą im ustępować drogi. Tym bowiem co charakterystyczne i uderzające w Stambule jest wzajemny szacunek. W tłoku, ścisku, przeludnieniu wręcz tego miasta, w którym trajektoria każdego ruchu jest niemal niestannie przecinana przez tłum innych zabiegających nam drogę i zabierających okruchy przestrzeni, zdaje się panować jakiś nienaruszalny, przedustawny wzajemny respekt. Nie można gardzić innym ani go popychać, nie można natarczywie się w innego wgapiać, nie można spić się w biały dzień i zaczepiać nachalnie lub agresywnie. Nie można gardłować i rozbijać się po chodnikach, potrącając innych. Nie można nie szanować zasad i miejscowych zwyczajów. Być wulgarnym. Nie wolno napastować kobiet. Nie należy słowem, strojem lub czynem prowokować czy okazywać lekceważenie. Na myśl przychodzi, iż gdyby nie te rudymentarne formy szacunku ludzie ci musieliby rzucić się sobie do gardeł lub zdeptać nawzajem co najmniej. Może ów ścisk właśnie wymusza szacunek,

może po większej części to traktowany poważnie nakaz religii. Zapewne ludzie Południa mogą być brutalni, okrutni i bezwzględni – nie bywają jednak tacy w bezmyślnym odruchu pospolitej głupoty, chamstwa, arogancji czy pełnej pychy pogardy dla innych. Muszą mieć ku temu istotne powody – religijne, moralne czy polityczne. Wtedy dopiero może, a czasem nawet powinna, polać się krew.

Dochodzimy do ścisłego, historycznego centrum. Tu gdzie pyszni się Hagia Sophia, a ściga się z nią w potęgę i przepychu Meczet Błękitny. Najpierw monumentalna Święta Mądrość, w której w wigilię Upadku, 28 maja 1453 roku modlili się o Miasto prawosławni i katolicy, cesarz i żebracy, mnisi i rycerze – Bogu jednak spodobało się odwrócić swe oblicze od warowni i wydać na łup i poharbienie niewiernym. Przed wejściem kłębi się rój turystów, a małe śniade dzieci o wielkich oczach żebrzą wydając bezładne dźwięki z plastikowych, chińskich flecików. Wszyscy chcą zobaczyć perłę Bizancjum, najwspanialszą świątynię świata, ułomek Niebios na ziemi. Rzeka turystów wlewa się powoli do wnętrza imponującej budowli. W korytarzach wiodących na galerię ścisk niczym w metrze. Liczne grupki krążą także po nawie głównej, pstrykając uporczywie fleszami. Mimo że wewnątrz świątyni sprawia zawód. Otóż – prócz nagich, masywnych murów i krągłych kolumn – nic tam prawie nie ma. Decyzją Ataturka Hagia Sophia została przekształcona w muzeum, co oznacza, że wszelkie niemal przedmioty rytualne, tak chrześcijańskie jak muzułmańskie zostały stąd usunięte: żadnych ołtarzy, rzeźb, ambon, obrazów, sarkofagów, wotów. W miejscu dawnego głównego ołtarza pozostał jedynie wskazujący kierunek Mekki zdobny mihrab. Przy Bramie Cesarskiej i na galerii zachowały się też, choć tylko częściowo – nadal zresztą odsłania się je i poddaje renowacji – stare, chrześcijańskie mozaiki. Jest Pantokrator i Święta Rodzina, jest także cesarz Aleksander, Grzegorz Cudotwórca i Jan Chryzostom zwany Złotoustym. Wszyscy zapatrzeni w przestrzeń tymi wielkimi, nieruchomymi, ciemnymi jak wieczność oczyma. Szczególne wrażenie robią jednak umieszczone w nawie głównej, tuż pod monumentalną kopułą potężne wizerunki serafów z zamalowanymi twarzami. Skrzydlate istoty, mimo, iż bez rysów, wprowadzają nastrój świętości. Brak twarzy podkreśla jedynie nieuchronną bezimienną, niefiguratywną i transcendencję (względem ludzkiej mocy pojmowania) Boskości. Serafy te stają się apofatyczne – mówią przez niemówienie, istnieją przez wyzierający z zamalowanych plam brak. Jest w nich także coś chtonicznego, zwierzęcego, co przypomina, że Bóstwo to totalność istnienia, obejmująca tak jasny, jak i mroczny jego biegun. To energia światła błyskająca w odwiecznej, oddychającej miarowo wilgotnym tchnieniem ciemności. To irracjonalne Życie - ogień, ruch i pierwotna, dzika wolność tworzenia i niszczenia. Moc ta – tak ekstatyczna, jak i przerażająca – daleka jest od jednostronności zbyt chyba zmoralizowanych wyobrażeń, jakie się Świętemu przypisywać zwykło. A jednak, mimo serafowych straży,



Święta Mądrość zdaje się pusta i wypatroszona. Nikt tu bowiem nie wznosi modłów do Najwyższego, nikt nie medytuje nad Nieskończonością, nad śmiercią, cierpieniem i nieuniknioną niesprawiedliwością, nad tym jak wyrwać się z tej mrocznej i ponurej gospody jaką jest świat. Nikt nie rozgrzewa serca wiarą, nadzieją, miłością, które niczym dym kadzidlany miały by znaleźć drogę ku Tronowi Bożemu. Nikt tu nie płacze, nikt nie błaga, nikt za nic nie dziękuje. Brak ciszy niezbędnej ku temu, by się skupić, zniknąć dla świata i wejść w siebie – czyli tam, gdzie mieszka Bóg. Została więc skorupa.

Dużo lepiej, pod tym względem, prezentuje się Meczet Błękitny. Jest żywy. Nawet turyści nie są w stanie przełamać jego głęboko religijnego charakteru. Tego miejsca jeszcze Bóg nie opuścił. Wnętrze tej świątyni jest monumentalne – od posadzki do stropu kopuły jest przeszło czterdzieści metrów – i prześwieczone blaskiem. Światło i śródziemnomorski lazur przenika tu przez dwieście sześćdziesiąt okien. Tonacja barwy wnętrza w istocie błękitna, bowiem zdobi je przeszło dwadzieścia tysięcy fajansowych płytek z błękitnymi właśnie motywami. Motywami oczywiście roślinnymi lub abstrakcyjnymi z uwagi na muzułmański zakaz czynienia wizerunków. Te ornamenty i miękkie zawijasy nasuwają skojarzenia z wywołującą wizualny trans geometrią fraktali – swą powtarzalnością, hipnotyzują, usypiają wzrok, a serce odsyłają do czegoś nieuchwytnego, ale wyraźnie obecnego. Poza tym meczet jest pustawy jeśli chodzi po wystrój i zdobnictwo – i tak nic nawet w przybliżeniu nie odda chwały Najwyższego. Wyścieła go jednak ogromny, miękki, wzorzysty dywan, na którym kłęczą i składają pokłony modlący się zwrócenie w stronę mihrabu, ale też baraszkują i turlają się dzieci, kobiety zaś – wydzielonej barierką dla siebie części – rozmawiają w małych grupkach. Samotna kobieta czyta, oparta o kolumnę. Nad centralną częścią zwisają gigantyczne żyrandole z niezliczonymi lampkami, ku którym zanoszą się życzenia...

Religię traktuje się tu poważnie. W świecie islamu religia jest żywa, żywa i oddziałująca. Kształtuje serca i umysły, wyznacza w Nieokreślonym splecione ścieżki ludzkich losów. Wzywa do życia, wzywa do śmierci. Przynosi poczucie tak metafizycznego, jak i społecznego bezpieczeństwa. Nasycza rzeczywistość tajemniczym, wyższym, nierelatywnym sensem. Pozwala nieuczonym rozumieć cokolwiek z tego, co się wokół nich dzieje. Pozwala czytać znaki i wyczekiwać na sprawiedliwość, na ratunek przed czyhającą katastrofą. Chroni przed całkowitą moralną i duchową rezygnacją, przed niszczącą świadomością, że wszystko jest jednak puste, ulotne i bezsensowne. Nie jest, jak sądził Nietzsche, platonizmem dla durniów, lecz raczej platonizmem dla poetów jak chciał Blake. Jest wszystkim dla ludzi, którzy nie mają nic. Jest domem dla bezdomnych. Ich wiarą i nadzieją, dzięki którym zachowują swą godność i wrażliwość. Nie czuć tu jej fasadowości, nie wydaje się zwykłym teatrem społecznej codzienności, ma-

skującym jedynie bezduszny zekonomizowany świat, społeczną gębą płytkiej, naiwnej dwuwartościowej moralności, a często wręcz jej braku. Czuć natomiast Ducha, coś nieuchwytnego, a jednak wszechprzenikającego, wyraźnie obecnego i zagęszczającego atmosferę, czego nie ma już w Hagii Sophii, nie ma na ulicach zamożnych europejskich miast i większości ich świątyń. W świątyniach Starego Kontynentu nie unosi się już delikatna i drżąca zawieszina Błękitu i Światła...

Wróćmy jednak do centrum, tym razem na Wielki Bazar. To podarunek Mehmeda II – od czasu glorii bitewnej częściej zwanego Zdobywcą – dla miasta. Powstał w 1464 roku, na dziesięciolecie wielkiego Zwycięstwa. Kilkadziesiąt hektarów pod dachem, kilka tysięcy stoisk, dziesiątki tysięcy przewijających się ludzi. W starych murach trwa nieustanny szal, orgia konsumpcji – gwar jak w ulu, blask niczym w jaskini Alibaby. Przy wejściach robaczkowo przepycha się tłum ludzi, pilnie lustrowanych przez policjantów z podręcznymi wykrywaczami metalu i niebezpiecznych substancji. Wokół cwaniacy, cinkciarze, naganiacze, złodziejaskowie, naciągacze, paserzy, sutenerzy i jeden Bóg wie kto jeszcze – podejrzanych, nagabujących łamaną angielszczyzną typów wszakże nie brakuje. Jest tu wszystko, co może zainteresować turystę, a co najluźniej choćby związane jest z tureckim światem. Pośród mnóstwa stylizowanej na tutejszą chińszczyzny, odnaleźć można jednak urokliwe wytwory miejscowych rzemieślników: biżuterię, dywany, ceramikę, zdobne nargile, grawerowane metalowe lub miedziane naczynia, lampki i żyrandole misternie konstruowane z setek kolorowych szkielek i giętych drucików. Wszystko prosi: weź mnie, zwiąż ze mną wspomnienie, uczyni pamiątką – miej mnie potem w domu, w swojej znojnnej, zwyczajnej codzienności a będę ci przypominać magiczny Levant i cudowne chwile, które tu spędziłeś. Większość towarów to nieznosny, masowy kicz – jednak nawet jemu udziela się coś z atmosfery samej budowli: sekretnej, tchnącej chłodem, orientalnej pieczary pełnej sultańskich bogactw. Rzeźki przewiew, ochrona przed palącym Słońcem, pelzające po uginających się od towarów pułkach lśnienia brokatu, miedzi i złota, korzenne i kadzidlane zapachy seraju – wszystko to powoduje, że spacer po Bazarze – mimo niekończącej się rzeki ludzi – nie jest nieprzyjemny.

\*\*\*

W nocy zaś, wyjąwszy okolice grzesznego placu Taksim – Stambuł jest cichy i spokojny. Przedziwnie bezgłośny i bezludny. Tam gdzie parę godzin temu kotłował się tłum nie ma żywej duszy. Stoiska poskładane, ulice pozamiatane, metalowe rolety zasunięte, okna wygaszone – jakby zły dżin porwał na pustynię wszystkich mieszkańców. Nie do wiary, nieprawdopodobne to, że ci wszyscy ludzie przelewający się bez końca uliczkami dali radę się gdzieś schować, gdzieś przytulić głowę, gdzieś usnąć. Ulica mijana za ulicą, a nie pokaże się żaden wagabunda, żaden spóźniony pijacek czy rozchichotana parka wracająca

z tanecznych płaśów. Gruba kołdra ciemnego nieba wycisza w końcu miejski rejdach, temperatura jest przyjemna i rześka, powietrze uwolnione od ciężkiego sarkofagu gorącego smogu. W istocie, w nocy ukryć się może wszystko: i bieda i rozgoryczenie i porażka i żal i poczucie winy. Sprzyja ona przecież ucieczkom. Zamiata po ludycznym karnawale dnia. Noc jest matczynie troskliwa, choć bezsenności bywa okrutna, obnażając boleści i wszelkie odleżyny duszy. Lepiej więc wierzyć, że w ciemnościach domostw ludzie śpią i dobrze śnią o lepszym świecie. Milkną, oddając głos murom, kamieniom i gadającemu po swojemu morzu. Oddając przestrzeń samotnym wędrowcom, dyskretnym podglądaczom, którzy patrzeniem chcą łowić znaczenia i gubić siebie po to, by do siebie wrócić – ale już jako inni, przemienieni widzeniem. Żywią się przeto owi włóczędzy obrazami, jak wieloryby kryłem. W nocy grabią myśli i uspokajają serce. Lubią ciemne, ciche uliczki, mlaskanie morza wśród brył czarnego bazaltu. Lubią czarniejsze niż noc gmachy tankowców sunące bezgłośnie po lśniącej niczym opal tafli Bosforu, światła mostów drżące w ciemności, wino pite do spółki tylko z Księżycem. W nocy miasto też zaprasza w gościnę. Sam na sam, bez postronnych. Wtedy powie o sobie więcej. Ale to wieści tylko dla jednych uszu.

# I NAGRODA BURMISTRZA MIASTA ŁĘBORKA

## KATARZYNA ZYCHŁA

### ZAKLINANIE NIEOBECNOŚCI

dalszą historię dopiszą ci, którzy zostaną. wrócą  
do swoich domów, żon, mężów, może pustki  
wypełniającej pokoje, aż po największy ból.  
nikt nie zapyta: reszka czy orzeł? zostaną tylko reszki  
późnojesiennych liści, łzawe zacieki na kamieniach.  
nie ma w tym sensu i nigdy nie będzie.

z fotografii czyta się inaczej. przez soczewkę łzy.  
przez powiększające szkło serca, na przekór  
wszystkim rzeczom niewidzialnym. ciężar smutku  
równoważy ciepły uśmiech dziecka. ptaki rozdziobują  
błękit. kiedyś nas to bawiło. piórka śniegu opadają  
lekką, gorzki żart pod koniec października.

potem będzie gorąca herbata. spacer z psem.  
zacieranie śladów na ścieżkach i ławkach.  
pod śnieżną warstwą zaśnie jezioro i park. miasto  
pograży się w letargu niczym przemarznięty  
wędrowiec. wtedy wymówisz imię, nadasz sens,  
wbrew wszystkim rzeczom widzialnym.

## PAŹDZIERNIKOWA ESKAPISTKA

uciekam w zapach smażonych śliwek, w szelest nocy.  
w spokojny sen córki. w ciężar i blask kasztanowych  
kuleczek. nie ma w tym wszystkim żadnej magii,  
nawet smutku, tylko spokój taki, że przychodzą  
wiersze, krążą bezsennością w ciepłym świetle  
starej lampy. i ważne, że już nie marzną stopy  
w grubych, wełnianych skarpetach. nie marzną  
dłonie otulające kubek z gorącą herbatą.

uciekam w zapach astrów, w kolor dyniowych  
dziwadeł. w te wszystkie jesienne fantasmagorie,  
które pozwalają rozmawiać z posłańcami, częstować  
dżemem z kwaśnej pigwy, zapalać oniryczne świece  
pomiędzy kruchymi gałązkami lawendy. wszystko  
inne ukryte w półcieniach, obce, z innej planety,  
na której nie ma mostów nad przepaściami, ani  
wierszy, gdy deszcz spływa po czarnych skałach,

rozlewa się gorzką rzeką w wyschniętych korytach.  
zawijam w liść kruchy wszystkie obawy. takich  
listów wysłano już wiele. odstawiam pusty kubek.  
Gaszę świece jedną po drugiej. nie wypowiadam  
życzeń. zamiast tego, zrywam z nieba gasnącą  
gwiazdę. wkładam pod poduszkę. na dobry sen,  
na nigdy nie wypowiedzianą modlitwę.

## OBIETNICA

z każdym rokiem staje się delikatniejsza, odbarwia  
w porach suszy, pęcznieje w porze deszczowej. jest  
znakiem na piasku, plamką na liściach, kreską bieli  
gdzieś na horyzoncie. z każdym rokiem słabsza.  
ulega silnym podmuchom taka trzcina na wietrze,  
płowieje w milionach nowych słońc, marszczy  
w mlecznych bibułkach albumów.

z każdym rokiem oddala się bardziej. kadry matowieją,  
dźwięki zlewają w szum ulic, harmider miasta, kłótność  
grudniowych wróbli, chociaż wciąż wierzymy  
w piosenkę, w smak żółto-zielonych papierówek.  
zimny wiatr z północy okrada zegary, wyłamuje  
konary starym jabłoniom. słowa tulą się do serca  
jak porzucone koty. zostawiają rany

nieuleczalne.

## NACZYNIĘ

chciałam być mocnym, glinianym dzbanem,  
w którym najpiękniej wyglądają bukiety polnych  
kwiatów. z którego najlepiej smakuje źródłana woda.  
w którym zawsze będzie miejsce na ciszę  
i wierność tych wszystkich wiosen i zim, które miały  
dopiero nadejść, wypełnić kuchenny kalendarz.  
a noszę w sobie tylko samotność. żadnych kwiatów,  
przędzy pajęczych, melodii przy których budziły się łąki.

przez pęknięcia wkrada się ciepło słońca,  
próbuję skruszyć lód.

## II NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY MIEJSKIEJ W LĘBORKU

### MAREK KOWALIK

#### KIEDYŚ BYŁEM MŁODY

Jak długo można tłumaczyć drzewu,  
że jest drzewem? I tak nie zrozumie.  
Ale tłumaczyć – właśnie trzeba.  
Nie ma innego wyjścia.  
W tym musi być jakaś tajemnica.  
O ile istnieje tajemnica.

Po wielu rejsach w dół i w górę rzeki,  
niejednym oczekiwaniu, na przedporciu, w porcie,  
mogę powiedzieć jedno: życie się przydarza.

Wiem, jaki podły los mnie spotkał:  
zachwalać kolej rzeczy w kraju  
kwadryliona parkingów.  
Ale kto z was powie do płynącej  
zamaszyście wody: płyń, wodo?  
Kto z was zawoła, tonąc:  
głębino, masz głęboką rację?!  
O ile deszcz mówi prawdę, kałuźo,  
ty też nie jesteś bez sensu!

II  
Kiedyś byłem młody.  
Kiedyś byłem młody i myślałem,  
że wszystko coś znaczy,  
że poeta jest pasterzem chmur.

Panie prezydencie i Ty,  
wielce szanowna komisjo,

proszę o wydanie decyzji,  
czy to jest wiersz, czy nie.

Niechaj się zbierze przy ognisku  
najroztropniejsza rada starszych  
i niech szamani ogłoszą swój  
transowy werdykt.  
I kupcie wino, kupcie dużo wina!  
I niechaj temat wiersza wejdzie pod obrady.

My jesteśmy najedzeni i głodni.  
Wy – albo najedzeni, albo głodni.  
Przynajmniej tak sądzę.

Zaproście wasze drzewa i rzeki.  
Nie zapomnijcie o bogach.  
I dzieci, niechaj będzie dużo dzieci!  
I kupcie wino, kupcie dużo wina!  
Śpiewajcie do utraty tchu,  
dopóki wiersz nie stanie się waszym losem!



### III NAGRODA

## ANNA PILISZEWSKA

### JEDWAB

oto stoi przed stołem  
ubrań swej zmarłej matki - z nożycami i igłą. szafy skrzypią  
inaczej - co wyszpera w tej ciżbie barw i kulek  
na mole? dziwny jest zapach śmierci  
pończoch, skarpet i halki. kurz  
dryfuje, gdy palcem tyka śpiących  
przedmiotów. z portretów  
zerkają twarze z uśmiechami Giocondy, gdy wybiera  
sukienkę.

pruje czarne rękawy - jedwab spływa z jej kolan i rozlewa się  
w potok,  
którym się zimna igła bezszelestnie  
obraca.

## ACEDIA

kraży w żelaznej klatce – czarny pędzel  
ogona zmiata roje owadów, drga włos albo  
powietrze – dostrzegalnie, wymownie. hamburgery  
i frytki usychają, zgniecione pogardliwym  
pazurem. nie myślisz  
prętów, smrodu, totalnego zamknięcia – jest zbyt  
duszno, gorąco. może idzie  
na burzę – coś  
się zbliża bezgłośnie. tymczasem podskakują  
warkoczyki twych córek, lody  
topią się w garściach, więc możliwe, że warto

być. i pójść do gekonów. pstryknąć  
fotkę dziewczynkom [w tle z ohydny aguti]. zapalić  
papierosa obok panoptikonu z tabliczką  
lemury catta. wyjąć nóż i owoce. wierzyć w sens

tego skwaru, w białą pianę na kuflu, w gorycz  
piwa na wargach, w czarne mięso na kości  
przeorane zębami sennych, znudzonych lwów, w piórko  
które spadając rzeźbi bliznę w powietrzu.

## JADEIT

pochyl się, wiąż ostrożnie rzemyk swego sandała – noc  
się zbliża łagodna i zamszowym językiem gładko  
poliże ziemię. pożary świata zgasną – nikt nie powie nam  
prawdy, a jednak przeczuwamy: sen jest bliżej  
i bliżej. załóż zatem na szyję kamień  
jadeitowy wzorem konkwistadorów z dalekiej Hiszpanii,  
a być może nawrócisz młodych autochtonów i przemówią  
przy budkach, po kaszance i piwie. skup się, to nie przeoczysz  
miejscowego profety – nie chuchaj w zimne ręce, szron  
schowany jest głębiej. kiedy rzucisz monetę  
nie mów mu: do ut des.

przystajemy - na moście w żeber żelaznej klatce bije  
ciężkie powietrze. wypatrujemy ptaków, w ciszy nasłuchujemy  
znaku, głosu muezina, który spadnie z wysoka  
i przyniesie odpowiedź, póki co zawracamy – pochyl się,  
wiąż ostrożnie rzemyk swego sandała - noc  
sfrunęła łagodna i zamszowym językiem gładko  
dotyka ziemi. pożary świata zgasły. zapal  
lampę – w jadeit popatrzymy  
pod światło.

## ZIELONE

zielone rośnie. stroszy parawany łopuchów w sieniach  
kurz. opuszczone izby, sterty przedmiotów. cyrklem  
ostrego światła sama kreśli się przestrzeń. to mogło być  
tylko tutaj. widzisz ten polny kamień – mech zasklepił mu usta  
i więcej nie przemówi ludzkim głosem. nie rzuci  
klątwy. więc możemy tu usiąść, wyjąć chleb i owoce.

opuszczali to miejsce, dzwoniąc  
stertą kłopotów. na wozach skrzypowane w konopnych powrósłach  
dygotały ich łóżka. sucha rzeka milczała, obnażając łożysko: pył,  
skręcone korzenie. kosztuj miąższ papierówki, lecz uważaj  
na nóż.

na skórcie rosną krople; przezroczyście, sperlone. masz poplamione  
palce – takie lepkie  
od soku. więc chyłkiem odjeżdżali, rzucając za siebie skośne  
cienie. parskały konie. w opłotkach wyły suki oplakując szczenięta,  
jakiś koło skoczyło w jednej z czarnych  
kolein. rozwidlone konary podnosiły się z chrzęstem. ziemia

piła powietrze, podchodziła do domostw – będzie  
wyjadać progi, rozcapierzać zielone...

# I NAGRODA STAROSTY POWIATU LĘBORSKIEGO

## ALFRED SIATECKI

### OSTATNIE ŻYCZENIE

Jak każdego dnia Celina Ratajowa wstała pierwsza. Jeszcze Rataj nie wyszedł z łazienki, a ona już krzątała się w kuchni. Póki była nauczycielką, obiecała córce, że gdy zostanie emerytką, nikt jej nie wygoni z łóżka przed dziewiątą. Tak było przez pierwszy tydzień, potem zrobiło jej się żal męża. Znowu nastawiała budzik na szóstą, szła do sklepu po pieczywo, nie kupowała wszystkiego, tylko dwie chrupiące bułki na śniadanie, czasem jajka, lecz jedynie wtedy, gdy mąż miał apetyt na omlet, a w lodówce nie było świeżych jajek.

- Czy ci nie wstyd, Boluś? W czymś takim chodzi się na zebranie - zganiła go. Zawsze ubierała się odpowiednio i zwracała uwagę, aby i mąż prezentował się stosownie do miejsca. - Ostatni raz idziesz do swojej fabryki. Ludzie będą na ciebie patrzyli. Musisz wyglądać jak... jak... - zatrzymała się na środku kuchni, bo żadne porównanie nie przychodziło jej do głowy. - Załóż granatowy garnitur i niebieską koszulę.

Rataj pokornie wycofał się do średniego pokoju, który był sypialnią i garderobą. Ubrał się, jak kazała żona. Pomyślał nawet, że w fabryce nikt mu się nie sprzeciwi, a w domu nie za wiele ma do powiedzenia. Tu musi być tak, jak uważa Celina, ale czy ona chce źle?

- Troszkę ci zazdroścę - powiedziała, gdy Rataj wygalowany jak do kościoła usiadł przy stole kuchennym. Obiad niedzielny zawsze jedli w największym pokoju, bo wtedy przychodziła córka z dwoma wnukami, więc pięć osób nie zmieściłoby się w kuchni. A na każde święta, kiedy syn przyjeżdżał z żoną i wnuczkami, rozkładany stół zajmował niemal cały pokój.

- Jest czego zazdrościć, Celinko?... Bo pewnie nie tego, że się zestarzałem i nie z dnia na dzień, a z godziny na godzinę staję się coraz bardziej zramolały. Dzieci nie, ale wnuki będą się mnie wstydzili. Stwierdzą, że dziadek, chociaż doktor habilitowany, nie rozumie tego świata.

- Też przybywa mi lat. Kobiety trudniej znoszą ramolenie się, jak to nazwałeś, tyle że z tym trzeba umieć się pogodzić. Starzenie się, mój drogi, jest naturalną konsekwencją. Biologia nami rządzi - nie umiała się wyzwolić od pouczania.

- W takim razie czego mi zazdrościsz, Celinko?

- A tego, z jakimi honorami będziesz odchodził na emeryturę. Pewnie nawet ministra edukacji tak uroczyście nie żegnają. Zasłużyłeś sobie na to, Bolusiu,

zasłużyłeś. Niewielu jest takich, którzy wytrzymali czterdzieści dwa lata w jednym miejscu. Czterdzieści dwa lata - powtórzyła jakby nie wierzyła, że tyle lat można chodzić do tej samej fabryki. Ona w tym czasie uczyła w trzech podstawówkach i liceum. - Kusili cię stanowiskiem w zjednoczeniu i dużym mieszkaniem w Gdańsku. A pamiętasz, jak wezwali cię do ministerstwa, bo chcieli, abyś został dyrektorem departamentu?

- Mieszkalibyśmy w stolicy - roześmiał się, siadając przy stole. - Do pracy chodziłbym w garniturze, pod krawatem... Co ja mówię? Jeździłbym służbową lancją czy bardziej reprezentacyjnym autem.

Ratajowa pokręciła głową z niedowierzaniem. Nie złościła się, gdy odrzucił propozycję awansu, chociaż miała ochotę być dyrektorem i przede wszystkim żyć w większym mieszkaniu.

- Nawet jednego dnia nie byłeś na zwolnieniu lekarskim.

- Byłem.

- Kiedy?

- Jak gaz wybuchł i bez mała pół wydziału zabrało pogotowie - przypomniał, lecz ona zbyła go machnięciem ręki.

- Szesnaście poważnych wynalazków, wśród nich dwa patenty zarejestrowane nawet w Ameryce. No i stopień naukowy doktora habilitowanego zdobyty wtedy, gdy inni jechali na ryby albo na działkę. Był jeszcze ktoś tak pracowity jak ty, Bolesiu?

- O kim pisały gazety. Do klapy marynarki którego przypięto chyba wszystkie odznaczenia. I kto po czterdziestu dwu latach pracy w tej samej fabryce ma niewiele, mimo że majątku nie rozdał biednym - powiedział z pretensją nie wiadomo do kogo.

Ratajowa zatrzymała się w pół kroku. Nie lubiła, gdy Bolesław z siebie się naśmiewał.

- Urodziliśmy się za wcześnie albo za późno - powtórzyła po kimś, ale nie pamiętała po kim.

- Każdy zostanie emerytem... Chociaż zdarza się, że niektórzy nie doczekają tego dnia. Kto jednak dbał o zdrowie, to znaczy pił tyle, ile wypada, żeby wątroba wytrzymała - roześmiał się - przestał palić zaraz po przekroczeniu czterdziestki - znowu się roześmiał - jak czuł nadchodzącą gripę, nie pędził do lekarza po zwolnienie i receptę na pastylki, tylko brał tydzień urlopu i leczył się wedle metody babci Helutki, może być pewny, że na odchodne dostanie odprawę emerytalną.

Zamiast przyznać mu rację, czego się spodziewał, Ratajowa spytała:

- Do śniadania wolisz herbatę czy cieniutką kawę z odrobiną mleka?

- Kawę będę pił z prezesem. Może i koniaczek. Jeśli masz ochotę, moja droga, zaparz mocną herbatę z dwiema łyżeczkami cukru i cytryną.

Już miała powiedzieć, że im człowiek starszy, tym mniej powinien słodzić, ale wstrzymała się z pouczeniem. W młodym wieku cukier krzepi, w starszym szkodzi.

- Czy to jest sprawiedliwe?

- Co takiego, Celinko?

- A to, Bolusiu - odpowiedziała z niezadowoleniem w głosie - że dostaniesz odprawę równą trzykrotnym poborom. Moja szkoła, kiedy przechodziłam na emeryturę, wypłaciła mi tylko trzynastą pensję pomniejszoną o podatek. Prawda, były jeszcze kwiaty i najtańsza bombonierka od koleżanek, a od inspektora oświaty dostałam album z widokami naszych zabytków. Wprawdzie identyczne albumy burmistrz daje każdej delegacji, która odwiedza Lębork, ale uznałam to za gest szlachetny. Przede wszystkim liczy się pamięć. Jednak jako osoba chodząca po ziemi z oczyma wycelowanymi na wystawy sklepowe, jak mówią nasze wnuczki, marketowe, nie pogardziłabym odprawą równą trzykrotnej płacy.

- Taki jest regulamin zakładowy. Gdyby to zależało wyłącznie od twojego dyrektora, pewnie dałby ci odprawę równą nie trzy-, a nawet sześciokrotnej pensji.

- On? Gdyby nie obawiał się inspektora, na koniec by mi ręki nie podał.

- Jesteś niesprawiedliwa - Rataj stanął w obronie dyrektora, chociaż nie rozmawiał z nim nawet przez telefon.

- W całym kraju, czy to fabryce, czy w szkole, czy w urzędzie powinno być identycznie. Skoro wszyscy płacą składki na ubezpieczenie i mają takie same żołądki, jak się niedawno mówiło...

- Są zakłady, gdzie pracownik odchodzący na emeryturę może sobie czegoś życzyć. Jedni wybierają prezent rzeczowy, inni opłatę za sanatorium czy wycieczkę życia, jeszcze inni wolą dostać gotówkę do ręki. Krótko mówiąc: emeryt może mieć ostatnie życzenie.

Celina najpierw znieruchomiała, a potem przyznała się, że nie rozumie, o czym Bolesław mówi:

- Ostatnie życzenie? Przecież to nieludzkie.

- Przeciwnie, bardzo ludzkie. I jakie miłe. - Powtórzył zadowolony: - Jakie miłe.

- Ostatnie życzenie kojarzy mi się z ostatnią wolą.

- Ostatni raz zakład jest naprawdę przyjaznym miejscem pracy, dlatego spełnia twoje marzenie. Pewnie, że nie wszędzie tak jest, a u nas jest. Pracownik odchodzący na emeryturę może powiedzieć, co oprócz odprawy chciałby dostać, żeby przypominało mu fabrykę i lata pracy. Śmiało się, gdy kolega z mojego wydziału poprosił o duży parasol, żeby zmieściły się pod nim dwie osoby. Jedna koleżanka złożyła zamówienie na bujany fotel, a druga na kanapę.

- Parasol, zgoda. Fotel bujany? Też. Kanapa kosztuje co najmniej pół pensji. Powinno się wręczać przedmioty pamiątkowe.

- Miała życzenie, żeby kanapa była ze Swarzędza. I to nie pierwsza lepsza, a z obi-

ciem bordowym, bo taki kolor jej się podoba.

Ratajowa pomyślała, że kanapa w ich dużym pokoju ma niewiele mniej lat od ich córki. Powinni kupić nową. Bordowa kanapa by pasowała do koloru dywanu i ścian.

- A ty?

- A co ja?

- Czego sobie zażyczyłeś? - zaciekała się Celina. Na wylot zna jego marzenia (przybornik ślusarski, skaner z drukarką, przelot motolotnią), mimo to spytała.

- Zażyczyłem sobie wędkę - odpowiedział pełnym zdaniem, umykając wzrokiem za okno.

- Wędkę? - Wybuchła śmiechem i się rozkaszała.

Gdy się uspokoiła, Rataj wyjaśnił, że nie poprosił o kij bambusowy z kilkoma metrami żyłki, haczykiem i spławikiem.

- Ma być wędka teleskopowa z włókna węglowego, markowy kołowrotek, do tego podrywka, składane krzesło, torba na sprzęt. I nóż do patroszenia ryb. Starsi ludzie powinni jeść więcej ryb.

- A nie lepiej byłoby, Bolusiu, gdybyś poprosił o kupon do sklepu rybnego? - spytała, gładząc go po ramieniu, czego on nie lubił.

- Mam zamiar zapisać się do związku wędkarzy. Jedni emeryci całe dni spędzają na działce, ciesząc się tym, co urośnie, drudzy dziadzieją przed telewizorem. A ja, po pierwsze, będę oddychać niezadymionym powietrzem, po drugie, będę zaopatrywać kuchnię w świeże ryby. Może być i po trzecie: nie będę ci się naprzykrzać.

- Co nam wyjdzie na dobre.

W dużym pokoju odezwał się zegar. Rataj nastawił uszu, liczył dźwięki kuranta.

- Na mnie czas - powiedział, wstając od stołu.

- Herbaty nie wypileś. I mało zjadłeś.

- Zostawiłem miejsce na to, czym poczęstuje mnie prezes. Przecież nie powiem: dziękuję, bo żona obficie mnie nakarmiła.

- Powinni przysłać auto.

- Odmówiłem. Nie przysyłali, kiedy pracowałem, to dlaczego pan Władek miałby dziś mnie wieźć? Niech do końca będzie po staremu.

- A może ja podrzucę ci naszym autkiem?

Bolesław pokręcił głową.

- Za kwadrans odjedźza autobus sprzed bloku. Pierwszy dzień na emeryturze, więc i pierwszy raz skorzystam z prawa do biletu ulgowego. Legitymację emeryta mam. Czy wiesz, że ostatni raz podróżowałem w ten sposób z akademika do gmachu głównego politechniki na bilet studencki? To było czterdzieści dwa lata temu... Piętnaście minut jazdy „piątką”, Celinko, i będę na miejscu.

- A jak skończy się uroczystość, zadzwoni, to przyjadę po ciebie. Na pewno bę-



dziesz miał dużo kwiatów, upominki, no i sprzęt...

- Prezes nie pozwoli, abym z wędką, plecakiem i co tam jeszcze dostanę pchał się do autobusu. Pan Włodek odwiezie mnie pod same drzwi.

Piątka przyjechała punktualnie. Dwadzieścia minut później Rataj wysiadł przed bramą fabryki. Zatrzymał się przy szlabanie, rozwarł legitymację, ale ochroniarz nawet na nią nie zerknął, tylko wyprężył się i zaszutował, potem uśmiechnął się i machnął ręką. Nie windą, lecz po schodach Rataj dostał się na pierwsze piętro biurowca. Do dziesiątej brakowało ośmiu minut. Zastanawiał się, czy stać przed drzwiami do gabinetu prezesa i wejść równo z gongiem zegara czy poczekać w sekretariacie.

- Boże, jaki pan doktor elegancki! - wykrzyknęła sekretarka. - Mężczyznę z muszką ostatni raz widziałam na przedwojennym filmie... Kłamię! Na sylwestra pan zawsze prezentował muszki ze swojej kolekcji. Bardzo lubiłam patrzeć na pana i... tańczyć z panem walca - ni to uśmiechnęła się, ni mrugnęła jakby to była jakaś tajemnica. - Zawsze uważałam, że mężczyzna pod muszką nie jest takim samym mężczyzną jak ten pod krawatem. A jeśli jeszcze umie tańczyć walca...

- Muszka to przeżytek. Nie pasuje do szyi nowoczesnego mężczyzny - odpowiedział ze śmiechem, pytając wzrokiem, czy może usiąść na krześle przy stoliku dla gości.

- A kolia pasuje do nowoczesnej kobiety.

- Prawda - zgodził się z sekretarką. - O ile dobrze zapamiętałem, to na sylwestra pani pokazuje się w kolii. I wtedy jest pani bardzo ładnie. Zresztą bez kolii też jest pani ładnie.

- Dziękuję, panie doktorze - znowu się uśmiechnęła, pokazując śnieżne zęby. - Wracając do muszki... W zeszłym roku syn zdawał maturę, na egzamin trzeba było przyjść w garniturze i koszuli z kołnierzykiem, taki zwyczaj, a on mnie pyta, czy potrafię zawiązać krawat.

- Milicjanci i wojskowi w ludowej Polsce mieli krawaty na gumce.

- Jedynie u nas krawat jest obowiązkowym strojem maturzysty. Syn studiuje matematykę w Berlinie, mówi, że w niemieckich uniwersytetach można przyjść na egzamin w dzinsach.

- A do pracy, już z dyplomem uczelni, żaden Niemiec nie przyjdzie w dzinsach, tylko w garniturze.

Cyfrowy zegar uczipiony ścianą na wprost biurka sekretarki przypomniał swoją rolę melodią z serialu „Dom”. Była punktualnie dziesiąta.

- Wczoraj o tej godzinie ostatni raz zwołałem odprawę na wydziale. Dziś pewnie inżynier Jarosz robi to samo albo wprowadza nowe porządki - powiedział Rataj.

- Na dziesiątą zaplanowano uroczyste pożegnanie pana doktora, ale... - sekretar-

ka urwała jakby się zastanawiała, czy powinna wszystko powiedzieć. - Wczoraj wieczorem rada nadzorcza odwołała starego prezesa i powołała nowego. Dziś zaraz po siódmej pan Władek przywiózł go z hotelu. Wszedł tu i... - pochyliła się nad biurkiem i dodała szeptem - ani dzień dobry, ani się nie przedstawił, tylko: na razie nie ma mnie dla nikogo. Inżynier Jarosz zna lepiej nowego prezesa, bo kiedy pan Władek go przywiózł, wszedł do gabinetu i siedział dobre pół godziny. Jak wyszedł, powiedział: Kinga, nie pani Kingo, jak dotąd mówił, a: Kinga, szanuj nowego szefa, to nie będziesz szukała innego miejsca pracy.

- Dobra rada.

- Ale skoro uroczystość miała być o dziesiątej...

- Poczekam. Mnie się nie spieszy. Prezes nowy to i mocno zajęty.

- Czym, panie doktorze? - spytała szeptem. - Przecież on nawet nawet nie wie, co nasza fabryka produkuje. Zdaniem pana Władka, to prezes z nadania politycznego. Mam przed sobą konsolę, więc widzę, że cały czas rozmawia przez telefon... Jak tylko zgaśnie czerwona lampka, przypomnę mu, że pan doktor czeka. Rataj wstał i zapiął marynarkę na środkowy guzik.

- Przyjdę kiedy indziej - powiedział.

- O, właśnie skończył rozmowę. - Sekretarka podniosła słuchawkę i nacisnęła na pomarańczowy guziczek. - Panie prezesie, nasz długoletni naczelny inżynier, doktor habilitowany Bolesław Rataj dziś przechodzi na emeryturę. Poprzedni prezes zaplanował o dziesiątej uroczyste pożegnanie pana doktora z udziałem... - nie dokończyła. Co jej powiedział nowy prezes, Rataj nie słyszał. Widział tylko zaciskające się palce na słuchawce i coraz bardziej zachmurzoną twarz sekretarki. - Może jednak, panie prezesie... - zaczęła i zaraz umilkła. - W takim razie co powiedzieć panu doktorowi, który czeka w sekretariacie? - spytała i po chwili dodała, ale przez zaciśnięte zęby: - Zrobię, jak pan sobie życzy.

Rataj domyślał się, czego życzy sobie prezes.

- Rozumiem - powiedział.

- A ja nie, panie doktorze - rzuciła sekretarka przez zaciśnięte zęby.

- Na mnie już czas. Do widzenia - powiedział i podszedł do drzwi. Dziwił się sobie, że jest taki spokojny.

- Proszę nie wychodzić. Tu jest świadectwo pracy, które miał panu wręczyć prezes podczas uroczystego pożegnania - zerknęła na dokument oprawiony w złociste ramki. - Boże, mnie jeszcze nie było na świecie, kiedy pan przyszedł do fabryki... I całe życie... w jednym miejscu?

- Tak się złożyło - odpowiedział nic sobie nie robiąc ze zdziwienia zdziwienia.

- Trzy razy dziennie powinni pokazywać pana w telewizji jako wzór przywiązania do fabryki.

- Dziś nie jest modne takie przywiązanie - powiedział, chwytając za kłamkę.

- Jeszcze ostatnie życzenie, panie doktorze, czyli sprzęt wędkarski.

- Czasem zbyt surowi bywamy dla tych, którzy nam się nie podobają - powiedział bardziej do siebie niż do niej.
  - Tu jest talon do konkretnego sklepu. Pański następca, inżynier Jarosz uznał, że tak będzie najlepiej. Wybierze pan sobie to, co się panu spodoba. Ten sklep jest w sieci prowadzonej przez żonę inżyniera Jarosza - dodała szeptem.
  - Nawet zaraz mogę się tam wybrać, tyle że mnie chodziło o coś zupełnie innego, pani Kingo. Prezent, choćby najmniej przydatny, jeśli jest ofiarowany szczerze, oczywiście ma wartość pamiątkową, ale i nieocenioną. A pamiątka to coś, co trudno usunąć z pamięci.
  - I jeszcze kwiaty dla pana. - Dopiero teraz Rataj dostrzegł bukiet w wazonie obok biurka sekretarki. - Niech pan poczeka. Podam kawę? Proszę mi nie odmawiać, panie doktorze.
  - Małą. Z mlekiem - zaznaczył, wracając na krzesło.
- Było dwadzieścia po dziesiątej, kiedy Rataj przechodził obok portierni. Miał ochotę poradzić się ochroniarza w sprawie sprzętu wędkarskiego, ale ten machnął ręką, nie odrywając wzroku od gazety. On też wie, że już nic nie znaczą w fabryce, pomyślał. Nie był zasmucony.
- Chwilę stał przy bramie i się zastanawiał, czy zamiast prosto do domu teraz iść do sklepu wędkarskiego czy kiedy indziej. Obejrzał talon, spostrzegł trzymiesięczny termin ważności, zdecydował więc, że popyta sąsiada, jakiej firmy wybrać wędkę i dopiero wtedy pojedzie do sklepu. Podniósł głowę akurat w chwili, gdy na końcu ulicy pojawiła się piątka, z przyzwyczajenia ruszył szybszym krokiem w stronę przystanku. Piętnaście minut później był na swoim osiedlu.
- Już jesteś. A chociaż zadowolony? - powitała go żona, otwierając drzwi w chwili, gdy podniósł rękę, aby nacisnąć na dzwonek. Nie przyznała się, że co kilka minut podchodziła do drzwi i wsłuchiwała się w kroki na schodach.
  - Ehe. - Podał jej kwiaty. Świadectwo pracy oprawione w złote ramki położył na szafce w przedpokoju.
  - Było tak, jak sobie wyobrażałeś pożegnanie z fabryką, w której pracowałeś całe życie?
  - Nigdy wcześniej nie odchodziłem z fabryki, zatem nie mam pojęcia, jak się odbywa pożegnanie długoletniego pracownika. Można było tak. Można było inaczej.
  - Siedziałeś na honorowym miejscu i wszystkie oczy były zwrócone na ciebie. To musi być takie sympatyczne.
  - Ehe. - Zdjął marynarkę, rozwiązał muszkę i rozpiął guzik koszuli. Nareszcie poczuł się nieskrępowany.
  - A kawa pewnie była w filiżankach z porcelany. Z mleczkiem skondensowanym?
  - Pani Kinga zawsze parzy wyśmienitą kawę. Jak czasem pytałem, dlaczego

kawa przez nią parzona ma aż tak wonny aromat, zadowolona uśmiechała się tajemniczo. Do dziś doceniałem jej kulinarny talent, teraz przekonałem się, że to nie tylko atrakcyjna kobieta, ale i wartościowa sekretarka. Prezes będzie z niej zadowolony.

- Dałeś dowód na to, Bolusiu, że się zestarzałeś - wypomniała mu ze śmiechem.
- Na starość mężczyźni dostrzegają ładne kobiety, których wcześniej nie zauważali, mimo że one zawsze robiły wszystko, aby wpaść im w oczy.
- Na starość mężczyźni często żałuje, że tak późno zaczął zauważać to, co jest naprawdę piękne, ważne i wartościowe - odrzekł nie wyjaśniając, co ma na myśli.
- Prezes poczęstował cię koniakiem czy białą wódką? Opowiadaj. Pewnie wyjął z barku butelkę pięciogwiazdkowego napoleona. Szefowie trzymają najlepszy trunek na wyjątkowe okazje. Mój dyrektor, amator czerwonego wina, na pożegnanie kupił siedmiogwiazdkową metaksę. Była wyśmienita. Inspektor tak powiedział, bo ja nie znam się na alkoholach.
- Wolę od czasu do czasu wypić kieliszek schłodzonej wódki niż codziennie kufel piwa. Należę do tych, którzy cenią jakość, a nie ilość.  
Tego nie musiał jej przypominać.
- Nie powiesz mi, że dostałeś jedną wiązanekę kwiatów? Pewnie było więcej, bo i od zarządu, i od twojego następcy, i od tych, z którymi tyle lat pracowałeś. Zostawiłeś je pani Kindze. Ładnie się zachowałeś - pochwaliła go.
- Najważniejszy jest bukiet, który trzymasz w rękach - pokazał głową.
- Zasuszę go i postawię w twoim pokoju, żeby ci przypominał fabrykę. Jak dostaliśmy róże od dzieci na srebrną rocznicę ślubu, też je zasuszyłam. Tak długo będziemy razem, powiedziałaś, jak długo te róże będą stały w wazonie.
- Róże od dzieci? - Zrobił pytającą minę.
- Nawet ich nie odkurzam, żeby się nie pokruszyły - wyjaśniła. - Pan Włodek podwiózł cię pod sam blok?
- Dalej się nie dało.
- Mogłeś zaprosić go na kawę. Pewnie też niedługo odejdzie na emeryturę. I prezes też wyprawi mu pożegnanie, ale to nie będzie już takie podniosłe jak twoje. On jest kierowcą, ty byłeś naczelnym inżynierem, doktorem habilitowanym. Zasłużyłeś sobie, Bolusiu, zasłużyłeś na szacunek i podziękowanie. Pewnie nikt w twoim zakładzie na tyle sobie nie zasłużył. Twój następcą... jak się nazywa?
- Inżynier Jarosz.
- Ma z kogo brać wzór. Gdybym była na jego miejscu, powiesiłabym twoją fotografię na ścianie i każdy dzień zaczynała od spojrzenia na ciebie.
- Bałwochwalstwo w dwudziestym pierwszym wieku?
- Dla młodszych zawsze byłeś wzorem do naśladowania. Zasługujesz na nawet na bałwochwalstwo.

- Robiłem to, do czego przygotowała mnie politechnika i co sprawiało mi radość. No i za co mi płacono... Najczęściej kosztem rodziny i domu. Więcej powinienem był przebywać z tobą, z dziećmi, częściej gdzieś wyjść.
- Na emeryturze będziesz miał dużo czasu, to nadrobisz zaległości - powiedziała ze śmiechem. - I naprawisz wszystkie krzywdy, jakie od pierwszego dnia naszego małżeństwa mi wyrządziłeś.
- Jutro zaproszę cię do Karczmy Rycerskiej na obiad z winem i świecami. Wieczorem pójdziemy na koncert.
- Aż tyle jednego dnia?... Jutro czwartek, niech będzie tylko koncert. W sobotę obiad w restauracji. W niedzielę suma w kościele, przed kolacją spacer po parku.
- Ileż musiałem popełnić zła, żeby teraz każdego dnia czynić dobro.
- Celina nie zrozumiała, ale nie poprosiła o wyjaśnienie. Spytała:
- Bolusiu, a gdzie masz te wędkę, kołowrotki i co tam jeszcze sobie zażyczyłeś?
- Za dużo sobie zażyczyłem. Wszystkiego nie dałoby się wnieść do autobusu.
- Przecież pan Włodek przywiózł cię autem służbowym, a tam miejsca nie brakuje. I pewnie wszystko składa się, że wygląda jak niewielka walizeczka.
- Dostałem talon. To nowoczesne i wygodniejsze niż taszczenie takiej ilości sprzętu przez miasto. O, któregoś dnia pójde do sklepu wędkarskiego, kupię co trzeba. Wybiorę taki sprzęt, że wytrawni wędkarze będą mi zazdrościli.
- A ja gdybym była na miejscu prezesa, wybrałabym tradycyjne rozwiązanie, czyli wręczyłabym ci prezent podczas pożegnania. Sam mówiłeś, że liczy się przede wszystkim pamięć.

## II NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY POWIATU LĘBORSKIEGO

ANNA KAROLEWSKA

### LATA 60 - TE NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH - WSPOMNIENIE

Dom stał na rogu Kochanowskiego, stary, ponemiecki, zapadnięty od ulicy Świerczewskiego. O niskim parterze. Bez trudu można było wejść przez okno do mieszkania, niekoniecznie wysoko unosząc nogi. Na parterze mieszkał szewc pokątny, jak zwał go ojciec. Po cichu nosiło mu się buty do podzelowania.- Jakby się wydało, że stuka w obcasy, to by powiedzieli, że krwio pijca proletariacki, mawiała mama. Był mrukliwy, ponury, bykiem patrzył. Miał w kuchni prawdziwe szewskie kopyto. Niby warsztat odgradzony był od reszty kuchni ceratą w kratkę. Jak nie stukał w obcasy to gwizdał na gołębie. Żona ruchliwa, żwa-wa, chodziła szybkim, drobnym truchtem. Wciąż przestawiała gary na kuchni. Z miejsca na miejsce. Mieli trzy córki, śliczne, ale jakieś takie powolne, nie-mrawe. Nie wdaly się w truchtającą ustawicznie matkę. Naprzeciw szewca pokątnego mieszkały dwie siostry, starawe, może po trzydziestce. Ufryzowane w wysokie blond tapiry, usta malowały na czerwono, w serduszko. Jedna z nich miała synka, nieślubnego. Nosiły mini spódniczki, w opinii ojca „aby, aby”. Na pierwszym piętrze - pan od karkulacji, z żoną i trzema synami. Wciąż powtarzał: - To się panie nie karkuluje. E tam panie, a jak tu karkulacja? Niemcy wróca, i w samych łapciach będziemy uciekać. Żona często go strofowała: - Do roboty to cię nie ma, tylko zeżreć mu się karkuluje. Dbała jednak o samopoczucie kulinarne męża o czym świadczyły ustawiczne nawoływania przez okno.- Józik, Józik, gołonka dochodzi. Naprzeciw pana od karkulacji - my. Na drugim piętrze starszy pan, jakby osobny, zamknięty, niezintegrowany. Często przesiadywał na schodkach przed domem od strony podwórza, szeptał do siebie, czy może w przestrzeń. Prowadził długie monologi. Mówiono, że był w obozie. Mieszkał z żoną. Dzieci ich poszły na swoje. Naprzeciw pana osobnego - niebieski ptaszek, wędkarz z zamiłowania. - Miga się od roboty, mówiono. Czasem odwiedzała go milicja, a propos migania. - Ostro zakropili, ryb pojedli a ten dalej kija moczy, gadali sąsiedzi, jakby solidarni z migającym.

Specyfiką podwórka przydomowego były śmietniki, dwie kwadratowe, ob-

murowane wysoko czeluście. Ulubioną zabawą dzieciarni były biegi po krawędzi murków śmietnikowych. Oczywiście zdarzały się upadki w sam środek pachnącej zawartości. Żona pana od kalkulacji często skarżyła babci. - A panina Hanka znowu lata po śmietnikach. Na podwórku stały komórki, w których odbywała się hodowla gołębi, królików, czy świniaka. Pokrzywione, połatane, każda z innej parafii. Dochodził z nich ustawiczny chrobot, mlaskanie, kotłowanina. Za komórkami łąka, na którą nie wiem dlaczego mówiono „spalotka”. Za Niemca były tam ogrody. Porośnięta była trawą, chwastem, ocalało kilka jabłoni, doskonałe miejsce zabawy i odpoczynku. Niejednokrotnie zdarzało mi się paść na spalonce kurę, zakupioną przez babcię w piątek na niedzielny obiad. Miała przywiązany do nogi sznurek, Po spacerze zniosła jajko. Babcia stwierdziła, że kura, która się niesie nie może iść pod nóż. Więc jakiś czas pomieszkiwała z nami. Niosła się bez opamiętania. Nazwałam ją Malina. Imię przyjęło się, bo babcia co rusz wołała:

- Hanuś, leć no Małyńkę popaść. Malina nigdy nie została przez nas zjedzona, oddano ją którejś z cioć.

Letnią porą ulubioną zabawą dziewczynek było robienie tzw. sekretów. Kopano się płytkie dołki na podwórku, w dołkach układało się kompozycje z kwiatów zebranych na spalonce. Takie maleńkie ogrody kwiatowe przykrywało się szkiełkiem i przysypywało piaskiem. Poza tym: berek, palant, zabawa w chowanego, raz, dwa, trzy baba Jaga patrzy, ciuciubabko, gdzie stoicie, wywołuję wojnę - naprzeciwko grzane piwko. Późnym wieczorem mamy nigdy nie mogły dowołać się dzieciarni do domu. Nigdy dość.

## Rynek

We wtorki i w piątki chodziliśmy na rynek. Znajdował się na obecnej ulicy Reja. Uwielbiałam. Na rynku baba na babie, krzepkie, rumiane, w kwiecistych chustkach, w ciężkich kapotach pomimo gorąca. Ręce bab spierzchnie, poorane, grube palce. Gwar, zamieszanie, nawoływania.

- Na ile stoi?
- Po wielu?
- Olaboga reta, gdzie moja portmonetka?

Konie z łbami w workach z owsem, ogonem co rusz chlasną. Pachnie tak, że aż słodko.

- Prosto z drzewa, pani bierze, rano rwane.
- Taaa, same łoczy widzo, że zawczoraj rwane.
- Tuzin jaj pani da.

Przedziera się między straganami pani liliputka, ufryzowana w ondulację, w małych ubrankach o poważnym kroju, jak zawsze z błyszczącą torebką zamykaną na trzask. Lekceważona, nie może się dopchać.

- Nie jadła, to i nie urosła, komentuje babcia, taki Tadek - niejadek z ni był, to tera ma. Łoblekaj bluzkę, dali jazda, bo zawiewa, a na coś ty buta zezuła? Oj ty, ty, ty, gapo ty.

- Niech będzie pochwalony pani Lemieszkowa.

- Na wieki, wieków.

Chłopi sprzedają kartofle z wozów. W głębi wozów toboły, tłumoki, a przy wozach kury w koszykach, jedne ciche, zasepione, inne hałaśliwie gdaczące. Gęsi wyciągają szyje, jakby ciekawe świata. W skrzynce kurczaczki zółciuchne, malutkie, popiskujące. Przy wozie stoi Cyganka, zaniedbana, poczochrana, z dzieckiem na ręku.

- Pińc kotów ji, a nie dziecioka, jak to go zamorzyła, szepcze babcia. Baby robią się czujne, łypią oczami, pilnują swego.

- Liter śmietany pani da, a co te twarogi zduśdane takie?

- Jakie zduśdane, pani popróbuj.

- Patrzaj Hanuś, wujek Juruś jadzie. Czekej no Juruś - woła do zięcia z Przeradzi szykującego się do odjazdu.

Patrzę błagalnie na babcie, i ona już wie. - Właż Hanuś, właż, podsadza mnie na wóz, sama gramoli się ciężko, siada obok. Jedną ręką obejmuje torbę, drugą mnie. Konik parska cicho, radośnie, że ze zgielku na łąki jedzie, do domu. Wjeżdżamy na ulicę, stukają podkowy o kocie łby.

- Nie ciężko mu babciu, uciągnie?

- Łoj tam, co ma nie uciągnąć, silny wałach.

- I żeby go wujek nie smagał batem, szepczę jej do ucha.

- Że tyż się mamie chce, potem z tobołami taki szmat drogi wracać?

- Łoj tam, wielka mi bida, przed Trzesieko wysiądziem, niech no się dziewczuska przejadzie.

## Marzenia

Na rogu ulicy Świerczewskiego, tuż przy Żukowa stała budka TOTO LOTKA. Zdarzały się wielkie wygrane. Zdjęcia szczęśliwców eksponowane były na szybie budki. Najczęściej byli to ludzie pracy, czyli robotnicy. Do dziś pamiętam pana w kolejarskim umundurowaniu, bogato uśmiechającego się do przechodniów. Pamiętam też snute przez babcie i ojca marzenia o wielkich wygranych. Z rana, ojciec po nocnej zmianie siedział kiwając na taborecie w kuchni.

- Całego śwyniaka byś od chłopa wziun.

- No.

- Szynkę by się uwędziło, nogi i głowiznę na galarete. Ino, żeby miał słoniny na dwa palce - upominała. Przetopię i do gara.

- No, od Cześka z Przeradzi weźnę.



- Jakiś ty durny Zygmus, przecie on karmi bele czym, morzy śwynie głodem.
- Flaki się oczyści, łobtoknie, kielbasy narobim.
- A majranek mama ma?
- A mam. I kaczkę byś wziun na czerninę.
- No.
- Trza by zawczasu statki łobtoknąć.
- No.
- Ja nie lubię czerniny babciu - wtrącam.
- No to przecie nie mus, kaczkę Zygmus nie będziem brać.
- A co ty byś Hanuś chciała?
- Lalkę z wózkim - odpowiadam bez namysłu.

Dobrotliwie i wyrozumiale uśmiecha się na moje niepraktyczne marzenia. I dalej snuje:

- Jakby mundrze gospodarować tymy piniędzmy to i chałupę trzyizbowo by się postawiło, ziemi pszenney kupiło, pińc morgów by się obsiało przenico, dwa kartoflany i kapusto, można by drzewek nasadzić, jabłoni, śływki. Jakby łąki dokupić, to i ze trzy krowy by się uchowało. No i Hanusi bołdzi-chę z wózkim tyż by się kupiło.
- No.
- Żeby tylko Bóg dał zdrowie i siły.
- No.
- Dali jazda Zygmus spać, kiwa się i kiwa, chybnie się zara.

### Kulinarnie

Prawdziwym królestwem babci była kuchnia. Niewielka, z kuchenką na węgiel. Przy oknie znajdowały się drzwi do spiżarki, która zastępowała lodówkę. Trzymała w niej babcia weki, takie na gumkę, gliniany garniec śmietany, świeże warzywa. Na haku wisiała słonina. Mięso, czy kielbasa były tylko w niedzielę i w święta. Na co dzień, babcia gotowała zupy: kartoflanka, ogórkowa, kapuśniak, krupnik, pomidorowa. W niedzielę obowiązkowo rosół, albo pyzy z mięsem. Nakładając nam pyzy na talerze zawsze, ale to zawsze mówiła wierszyk o kołdunach:

Zawijanych w cieście  
Zjadł kołdunów dwieście  
Potem z niestrawności  
Poszedł do wieczności

Wierszyk nieco odbierał apetyt, ale nam nigdy nie zdarzyło się zjeść więcej niż trzy pyzy.

W sobotę często smażyła pączki z marmoladą, taką z bloku, na wagę. Brązowe

z wierzchu, żółciutkie w środku, pyszne. Na pączki też miała wierszyk:

Powiedział Bartek, że dziś tłusty czwartek,

A Bartkowa uwierzyła, tysiąc pączków nasmażyła

Oczami wyobraźni widziałam rumianą Bartkową z zapalem lepiącą pączki i cwanie uśmiechającego się Bartka kłamaczucha. Przysmakiem rodziny była babka ziemniaczana i podpiwki, które dochodziły w butelkach po oranżadzie. Bardzo lubiliśmy chleb posmarowany gęstą śmietaną. Ale prawdziwym rarytasem był chleb kropnięty wodą i posypyany cukrem. Wszystkie dzieciaki z taką mokrą pajdką wychodziły na podwórko. Kilka razy ojciec kupił końską kiełbasę. Była krwiście czerwona. Nikt poza nim jej nie tknął. Być może była smaczna, ale nie mogliśmy przełamać bariery moralnej, bo przecież koń to prawdziwy przyjaciel człowieka. Siostra twierdziła, że ta kiełbasa jest na pewno z „Naszej szkapy”. Rozpacz. Marzeniem naszym, dzieciaków, były słodycze. Dostępne ze względów finansowych i zaopatrzeniowych były dropsy, lizaki, landryny. Rarytasem były kukułki. Bywała w sklepach chałwa na wagę. Czekolada była tylko w święta, a pralina-czekoladka z bombonierki u cioci na imieninach.. I tylko jedna. Moment rozpakowania bombonierki był niemalże symboliczny. Szeleścił przezroczysty papierek, dzieciaki milkły, truchlały wręcz. Ciocia powoli otwierała wieczko i złaknionym oczom ukazywały się bajeczne praliny, ułożone w kilku rzędach.

Należało podjąć decyzję życia: którą wybrać? Zawsze miałam wrażenie, że podjęłam najgorszą decyzję. Zdarzało się, że babcia gotując śpiewała. Najczęściej pieśni nabożne: „Kiedy ranne wstają zorze...”, „Pójdźmy do Pana z winnym pokłonem... A złożymy serca przed jego tronem...” Ale bywało, że i przyśpiewki ludowe, weselne. Zapamiętałam jedną, z psem w roli głównej:

Leciół pies bez łowies, łogonem wywijoł,

Pewno nieżonaty, szczęśliwo bestyjo.

Leciół pies bez łowies, łogon miół spuszczoney,

Pewno był żonaty, bo był zasmucony.

Łoj dana, łoj dana, łoj dana...

Zaskoczona moim wtargnięciem do kuchni, żegnała się zawstydzona i wracała do nabożności – „Kto się w opiekę odda Panu swemu, a całym sercem szczerze ufa Jemu...”

### Świadectwo

Byłam dobrą, sumienną uczennicą. Koniec roku, wchodzę do kuchni, babcia z książeczką do nabożeństwa siedzi jak zwykle przy oknie. Podaje jej świadectwo, ogląda nabożnie, ze skupieniem. Oddaje.

- Czytaj Hanuś, jak tam stoi?

- Język polski, bardzo dobry.

- O mój Jezu ukochany, pierwsze łzy spływają po policzkach.
  - Czytaj Hanuś, czytaj.
  - Matematyka, bardzo dobry.
  - O mój słodki Jezuuu, łzy tryskają fontanną a płacz przechodzi w przeciągły lament.
  - Czytaj, czytaj.
  - Przyroda, bardzo dobry
- Zakrywa rękami twarz i teraz płacze bezgłośnie.
- Jeszcze babciu rysunki.

Ręką daje znak, że więcej szczęścia nie zdoła unieść. Wyplakana wstaje od stołu, otwiera sekretną szufladkę kuchennego kredensu i wyjmuje blaszaną puszkę z kukułkami. Tyle mogła mi dać za piątkowe świadectwo. Nie wyobrażałam sobie piękniejszej nagrody.

### **Kościół pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny - najpiękniejszy w świecie**

Kobiety z kółka różańcowego chodziły na majowe nabożeństwo w brązowych płaszczach i białych chustkach, wiązanych na dwa supły pod brodą. Babcia też. Czy same wymyśliły kolorystykę stroju różańcowego, czy było to zarządzenie odgórne, nie wiem. Wszystkie nad wyraz skupione, surowe, poważne. W kościele jak każde normalne dziecko wytrzymałam minutę spokojnie ze złożonymi rękami, wpatrzona w obraz Najświętszej Pani. Rzut oka na balkony: spadną czy nie, a żyrandole trzymają się na drucie czy gwoździem przybite? Ile pieniędzy jest w skrzynkach? A Pana Jezusa bym zdjęła z krzyża, żeby już nie był smutny. Najczęściej wielu wrażeń dostarczały mi uchwyty na torebki umieszczone po wewnętrznej stronie ław. Wydawały cudowne, przenikliwe piszczące dźwięki. Co jakiś czas zapiszczałam uchwytem, obserwując skupione, rozmodlone twarze.

- Piszcz dzyndzlem piszcz, to ci kołtuna zażegnam, upominała babcia z serdecznym błyskiem w oku. - A Matka Boska widzi, jak to Hanusia dzyndzlem piszczy i anioły straszy, dodawała.

Jakże cudowne były powroty po majowym do domu, ulicą Kochanowskiego, pod lipami. Świat pachniał kwitnieniem, w krzakach darły się, kotłowały wróble, a ja wiedziałam, że za chwilę babcia podsmaży kartofle z obiadu. Na rumiano.

- Dali jazda, pospieszaj, idziesz jak ta guła, ponaglała.

### **Anioł**

- Każdy dzieciok ma swego anioła, którego pilnuje, stoi na straży - mawiała babcia.
- A po co na straży?- pytam.

- Ku pomocy, żeby się dzieciok nie łutopił, nie pobił, nie przetracił.  
- Ja też mam?  
- Tyż.  
- To czego mam znowu guza?  
- Za tobo to żaden anioł nie nadąży, latasz po zwyrach, wścikasz bez łopamiętania, to któren nadąży, no któren? Po co lażaś w ścianę? – aluzja do świeżego guza. Toż same łoczy widziały, że ściana stojała. Paskudnica nieusłuchana, leci tak, że mało się nie zapamięta. Oj ty, ty, ty, Boga się nie boisz – kończy wyczerpana monologiem.

### Bambino

Wielkim rodzinnym wydarzeniem był zakup adapteru Bambino. Zakup był inicjatywą ojca. Repertuar stopniowo gromadzonych płyt był przebogaty, różnorodny. Pamiętam piosenki najczęściej słuchane - Irenki Santor, wielkiej miłości taty, platonicznej rzecz jasna,

Powrócisz tu, gdzie nadwiślański brzeg

Powrócisz tu, zza siedmiu gór i rzek...

Często: Patrzaj bracie, jak ta wiara hula

Jak Mariańcio Mańkę swą przytula, hej, hej.

Wypij dziś, bo jutro już nie będzie

A może więcej nie zobaczymy się, się, się...

Albo: Babcia stała na balkonie,

Dołem dziadek defilował.

Ledwie go ujrzała,

Nieomal zemdląła,

No i tak to się zaczęło.

Pa, pa pa, pa, ra, pa pa, pa, pa...

Adapter obsługiwał wyłącznie tato. Czasem zapraszał na potańcówki sąsiadki, szczególnie żonę pana od kalkulacji. Po prostu w przyływie natchnienia wolał sąsiadkę, która prosto od garów, wycierając w fartuch ręce, brała go pod boki. I w tany. Musieli tańczyć lekko, delikatnie, bez przytupu, ponieważ igła na płycie przeskakiwała pod wpływem drgań i wstrząsów. Tato, zapalony tancerz wyglądał przezabawnie delikatnie drobiąc na paluszkach, ledwo muskając podłogę, kiedy chciało się siarczystym przytupem wykrzesać iskry spod obcasów. Po kilku piosenkach, sąsiadka z krzykiem – O Jezu, wykipi, leciała do garów. Tato, długo jeszcze zmieniał płyty włączając się ze swym mocnym, pięknym, operowym głosem. Z całą pewnością był spontaniczny.

### III NAGRODA

## ALINA MENDRALA

### SPOLICZKOWANY PRZEZ WIATR Z OPOWIASTEK MOJEGO TATY

*... Wieczór zostawia księżyc obok domu  
lśni srebrna kula, na dachy lekko spada  
potem będzie cisza.*

*Wiatr w sadzie zagra komuś...*

**- Mieczysław Stryjewski, Nie mam powrotu**

W letnie wieczory takie jak ten, gdy atlasową paletę nieba rozświetlały iskierki gwiazd a srebrzysty żagiel księżycy majestatycznie wędrował nad wioską, powracały stare wspomnienia... Wiatr od Rzyki gaworzył z koronami potężnych drzew w owocowym sadzie, tańczył z kropelkami rosy perłście pieszczącymi źdźbła traw i wydobywał z ziemi smakowity zapach pszenicznego chleba. Pyszne, grube kromki, które podtykała mu mama, posmarowane dosadnie masłem – nie mogły równać się z niczym innym... Szkoda tylko, że po chwili pachnącej nirwany, niespodziewanie kończyła się piękna baśń. Wiatr zmieniał kierunek, przyjazne powiewy przybierały na sile, stawały się nachalne i groźne. Mocne i zimne podmuchy najpierw gniewnie szarpały resztki siwych i zdziczałych włosów na podłysiałej głowie, później mściwie atakowały twarz. Dostawał od wichru policzki i dobrze wiedział za co... To pamięć prastarej ziemi domagała się wypełnienia danej kiedyś przysięgi!

Od tego ważnego dnia, kiedy to Jaglina opowiedziała Gieniutkowi o Ptoku i o dzwonych zaklętych minęło ponad dwadzieścia lat. Wszystko się zmieniało, dokładnie wszystko... Świat pędził wciąż do przodu, coraz bardziej weryfikując młodzieńczą wiarę w spełnienie dawnych pragnień i marzeń. W potrzasku prozaicznych dni, kiedy trzeba było walczyć o byt, odrzucić myśli o przebrzmiałych cieniach, słuchać śpiewu echa podszytego leśnym wiatrem i racjonalnie poddać

się tasakowi codzienności... Nie było innego wyjścia. Miłość, małżeństwo, dzieci i coraz większe wymagania od życia.

Tyle lat, tyle problemów, które wciąż zdawały się nie mieć końca.. Czasem Eugeniusz Gawron - dorosły i poważny mężczyzna, przepoczwarzony z dawnego Gieniutka - czuł, że brakuje mu sił. Nie miał odwagi skupić myśli na fantastycznych opowieściach, które falowo przepływały przez wioskę i burzyły strukturę socjalistycznej rzeczywistości. Wciąż zdarzali się biedni delikwenci, nie stroniący od alkoholowych trunków, a krwiożerczy Ptok czający się w szuwarach nad brzegami Rzyki - jakoś nigdy im nie odpuszczał. Cóż, nikt nie odnalazł dzwonów zaklętych i nadal działała prastara klątwa kowala..

Życie raczej dość nieprzewidywalnie układało się każdemu, a już w szczególności jemu. W młodości był niezbitcie pewien, że odnajdzie dzwony zaklęte i uwolni Ptoka i kowala z kajdan wiecznego trwania na tej ziemi, że uwolni Rzykę od przekleństwa... Starał się, naprawdę się starał przez wiele, wiele lat. Nadaremnie jednak, bezsensownie całkiem i głupio. W zasadzie już się z tym pogodził, już pojął, że przeznaczenie nie wyznaczyło go na bohatera. Pozostał jedynie ten dziwny żal, który budził się w najmniej spodziewanych momentach...

Nie rozpowiadał o Ptoku byle komu, tak jak nakazała mu nieboszcza Jaglina, tylko jego dzieci i dzieci Czesi znały calušką prawdę. Widocznie jego rola kończyła się na przekazaniu starej legendy, na utrzymaniu jej przy życiu, by całkiem nie poszła w zapomnienie. Ptok na Rzyce nadal grasował, nadal topił tych, co ztratili się w alkoholu i choć ludzie już w niego nie wierzyli, a opowieści pijanych nieszczęśników traktowali jako alkoholowe delirium, on nadal istniał. I nadal gdzieś tu po okolicy błąkał się duch przeklętego kowala, a w ziemi czekały na odnalezienie zaklęte dzwony. Ich bicie na chwałę Boga miało sprowadzić na wieś wieczny dostatek, dobrobyt i nieprzemijające szczęście. Oj, przydało by się to wszystko biednej, zacofanej wiosce i może przepędziłoby wreszcie nędzę z ludzkich domostw i strach z ludzkich oczu.

Socjalizm, ten ponoć najsprawiedliwszy ustrój na świecie, okazał się jedynym, wielkim kłamstwem... Gienek nawet się temu zbyt nie dziwił, bo od początku miał słuszne obawy i podejrzenia. Nawet gminni prominenci nie licyli się z nikim i z niczym, za nic mieli prostego człowieka, a co dopiero mówić o władzach wyższych? To właśnie ich powinien potarmosić Ptok, to ich powinien straszyć duch kowala, przecież zniszczyli w ludziach najpierw wiarę a zaraz potem i nadzieję,

- Obywatelu Gawron, nie życzę sobie by nadal nękał nas, obywatel, tymi monitami o przydział cegły! To już staje się niesmaczne i wręcz nie do zniesienia! Cegły nie ma, jak będzie to, obywatel dostanie! - rozbiegane, chytne oczka gminnego naczelnika ani na sekundę nie zatrzymywały się na jego twarzy. Dla

władcy po prostu nie istniał.

- Ale cegła przecież była a ja już czekam tak długo! Inni podostawali poza kolejką! Lepsi są czy co? - gniew był zawsze najgorszym z doradców, ale Gienek nie mógł go, niestety, okiełznać.

- Co też, obywatel, mi tu imputuje? - w tonie głosu - bardziej opasłego niż jego marznące wieprze - urzędnika grzmiała już wyraźna groźba.

- Nie, nic! - zawsze wycofywał się przezornie.

- Przyjdzie cegła do rozdziału, dostanie, obywatel, powiadomienie z urzędu!

Czekał już półtora roku, inni dostawali przydziały, a on nie. Nie należał do Partii, nie był towarzyszem i może w tym tkwiła przyczyna? - Ciężko to będzie wytłumaczyć moim świniom, bo chlewek całkiem w rozsypce! Wicher hula im po krzyżach, leje na nich deszcz i pewnie przeklinają władzę na czym świat stoi! - zażartował nieszczególnie rozsądnie.

Naczelnik musiał mu to sobie zapamiętać, bo jakoś dziwnym zbiegiem okoliczności przesunął niepokornego Gawrona na sam koniec kolejkowego przydziału i jego świnię rzeczywiście, z biegiem czasu musiały nabierać coraz to gorszego zdania o tym najsprawiedliwszym z ustrojów. Biedne świnię cierpiały ziąb, a tamte - urzędowe pławiły się w dobrobycie i pokątnie załatwiały przeróżne interesy, niekoniecznie zgodne z dobrem ogółu. Kowala musiał szlag trafiać, kiedy patrzył na rozpasanie władzy i na krzywdę prostych ludzi! Gienek, niestety, był bezradny, tak jak i sam duch kowala...

Nie było lekko, nie było! Na domiar złego jeszcze i ojciec sprawiał same problemy. Czasem Gienek myślał sobie, że nie tylko policzkuje go wiatr ale i los się na niego porządnie zawziął.

- Tato! Błagam cię, nie rozpowiadam po wsi, że bierzesz zastrzyki w pochwę! Mężczyźni nie mają pochwy! Uwierz mi, tato, nigdy nie mieli! Ta część ciała nazywa się pachwina! Pachwina!!! Nie inaczej! - pieklił się, spoglądając bezradnie na złośliwie uśmiechniętego ojca. Całkiem mu się we łbie pomieszało, czy co?

- Mnie dają zastrzyki w pochwę! - Walenty patrzył na syna kpiąco. - Biorę bolesne zastrzyki właśnie w pochwę! - upierał się przy swoim.

Gienek ledwie panował nad sobą. Wydawało mu się, że zaraz palnie starego w siwy łeb, a sam zacznie wycić ze złości. Po błękitnym jeszcze niebie przetaczały się ciężkie, powolne, burzowe chmury. Ptaki latały nisko, zwiastując niepokodę. Dym z komina ścielił się po łące, zaczepiał o pnie drzew w sadzie.

- Na deszcz idzie - niespodziewanie spokojnie oznajmił Walenty.

- Nie macie pochwy! Cała wieś się z was naśmiewa!

- To chyba dobrze, że im tak wesoło! Zbiera się na deszcz...

- Tato! Zawzięliście się na mnie, czy co? Co ja wam takiego zrobiłem? No, co? - rozżalił się naraz mężczyzna i przygryzł sobie wargi ze wściekłości. Nie mógł

wprost uwierzyć, że rozważny dotąd ojciec, zaczął przejawiać objawy złośliwego półgłówka. Niby nie był wariatem, ale uparcie twierdził, że bierze zastrzyki w pochwę, a podczas nowiu księżycy bogobojne sąsiadki zamieniają się w czarownice i całkiem golutkie przelatują na miotłach nad opuszczoną, rozsypującą się chałupą nieboszczki Jagliny i, że kiedy tylko on ozdrowieje, ukróci te niecne procedery. Stara, garbata Dubajka, posądzana zresztą przez ojca o te loty golaste i o wszelkie możliwe zło, spluwała mu pod nogi i straszyla, że lada dzień złoży skargę na milicji.

- To się nie da strzymać, Gieniutek! Stary całkiem sfiksował, musowo go zamknąć, albo co! Kiedy przechodzę koło waszej zagrody, wypada na dwór i niby kropi mnie... Kropi? Co ja gadam, jakie kropi? Leje mnie wodą święconą, leje!!! Tylko powiedz mi, skąd on ma całe wiadra tej wody? Sam je poświęca? Na to wychodzi, bo onegdaj, zanimem uciekła, wylał na mnie ze dwa wiadra pomyj! Musiały to być pomyje, bo żem śmierdziała potem jak skunks! Sam widzisz, chłopie, to się nie da strzymać... I jeszcze ta jego sławetna pochwa, nawet dzieciom ją pokazuje, a przy okazji wypada mu stary, wyschnięty chrabaszcz i zgorzenie sieje!

Gienek zerzył się, przeproszał starą dewotkę, tak niefortunnie posądzaną przez ojca o czary, i obiecywał, że lepiej będą go pilnować. Na siostrę nie miał co liczyć, bo i jej do szaleństwa niewiele brakowało. Po śmierci starego Ajno, zaraz na drugi dzień po pogrzebie, zaczęła konwersować z duchem nieudacznika teścia, a na domiar złego, pilnie przestrzegała jego zaleceń. Podobno to właśnie teść z zaświatów poinstruował ją, jak ma zwalczyć alkoholowy nałóg u swojego męża... Tyle, że Jakub nie był żadnym alkoholikiem, a to co wypił za młodu, musiało mu wystarczyć na zawsze. Owszem, wypijał niekiedy piwo pod gesowskim sklepem, a nawet i kilka kieliszków ze znajomymi, jak nadarzyła się ku temu stosowna okazja, ale problem alkoholowy? Po ślubie z nim Czesia dostała alergii na wszelkie napoje wysokokowe, nawet na syrop na kaszel. Jeśli tylko oddech męża wywołał u niej skojarzenie z procentami, wpadała w autentyczny szal i nic już nie mogło powstrzymać dzikiej furii, która się w niej budziła.

Jednego razu, nieświadom jeszcze problemu, Gieniutek obalił ze szwagrem całuską flaszkę luksusowego bimbri i finał był tragiczny. Rozwścieczona Czesia, ponoć wspomagana przez teścia z zaświatów, wbiła żelazny widelec głęboko w brzuch męża. Musiała potem oprzytomnieć, gdyż wstyd jej się zrobiło, by kogokolwiek poprosić o pomoc i sama zawiozła krwawiącego Jakuba kilkanaście kilometrów do pobliskiego miasteczka na pogotowie. Rowerem go zawiozła, rowerem! Cud, że nieszczęśnik w ogóle przeżył całą operację, istny cud. I jakoś tak się działo, że z każdym rokiem Gienek coraz bardziej poważał statecznego szwagra, a lekceważył siostrę. Czesia zmieniała się, szalała i całkiem przestawała przypominać tę osobę, którą kiedyś była, albo przynajmniej starała się być. Od



ekscytacji komunistyczną władzą, co to każdemu miała dać po równo, przeszła do całkowitej negacji wszystkiego w jakikolwiek sposób wiążącego się z nowym sposobem myślenia.

Ludzie przyzwyczaili się już do nowych porządków, okrzepli jakoś, nauczyli się tak żyć, a Czesia na odwrót. Krytykowała wszelkie ulepszenia, nawet elektryczność jej się nie podobała... Nic jej się nie podobało! Kiedy w świetlicy Domu Ludowego po raz pierwszy podłączono telewizor, wybiegła stamtąd z niesamowitym krzykiem, że władza zrobiła kolejny zamach na ludzkie dusze i umysły.

- W tym czarnym pudełku diabła żeście sprowadzili! Pożałujecie tego, wszyscy pożałujemy! - ryczała jak szalona.

Nie krepowała się rozpowiadać wszem i wobec, jakie to wspaniałe ma kontakty ze zmarłym teściem. Nawet w Ptoka uwierzyła, stale zresztą oczekując, kiedy bestia nareszcie odpowiednio postraszy, jej nader lubującego alkohol, męża. Aby całkiem odzwycząić go od picia, zastosowała mu również kurację środkiem przeczyszczającym, dosypywanym do codziennej porcji porannego barszczu. Jakub zaczął chudnąć w oczach, bezustannie kręciło mu się w głowie i myślał już o tym, że przyjdzie mu się pożegnać z tym światem. Bał się, co spotka jego pięcioro drobnych dzieci zostawionych na pastwę szalonej matki i udał się na rozmowę do szwagra.

Na szczęście Gienka tknęło jakieś przeczucie, jakieś mgliste podejrzenie. Burzliwa dysputa z siostrą, do której podobno cały czas wtrącał się zmarły, niewidzialny Ajno, dała jednak dobre rezultaty. Jakub błyskawicznie wracał do zdrowia, nabierał ciała i z optymizmem patrzył w przyszłość. Nigdy nie dowiedział się, co było przyczyną jego choroby i równie cudownego nagłego ozdrowienia.

- Nie możesz, Jakubie, nawet wahać procentów! Nawet wahać, bo Czeska całkiem zwariuje i kto się wtedy zajmie dziećmi? - Gienek mówił gniewnie i z wściekłością, ale nie do szwagra skierowana była jego złość.

- Myślisz, że o tym nie wiem! Od trzech miesięcy nie pozwoliłem sobie nawet na luksus wypicia piwa! Rozumiesz? Wiesz, jakie są upały, wiesz jak się chłopcy nabijają? Ani jabłka całkiem nieźrałego boję się ugryźć, bo nuż Czesię zaleci straszeczny fetor wina! - odparł Jakub z goryczą i ciężko opadł na stół w kuchni.

- A może by tak z Czesią do doktora? - rozważał głośno przygnębiony Gienek.

- Do doktora? Ale po co? Ona zdrowa jak ryba i mocna jest... Oj, mocna, mocniejsza od wielu chłopów! - westchnęło się szwagrowi, a spojrzeniem uciekł gdzieś w bok.

- Do psychiatry!

- Daj spokój, Gienek! Toż to wstyd na całą rodzinę! - W tym wypadku Jakub miał niestety rację. Gienek musiał mu to z żalem przyznać. Hańba, Hańba nie od zmycia i na całe pokolenia stałaby się udziałem całej rodziny! - Ona ciągle rozmawia z twoim ojcem? To nie jest normalne, nie jest!

- Bezustannie! Już mnie się dzieci dopytują, czy kiedy urosną, będą mogły pogadać z niewidzialnym dziadziem!

- Sfiksowała! Moja siostra sfiksowała! Skończy w zakładzie dla obłąkanych!

- Nie jest tak źle... Jakoś sobie przecież radzimy! Czesia jest dobrą matką, tylko do mnie powzięła tę dziwaczną, alkoholową nienawiść...Tylko do mnie - uspokajał go Jakub.

- Ciesz się, że twoja matka nadal trzyma stery gospodarki, bo bez niej... Lepiej nie mówić!

- Jakoś sobie radzimy! Da Bóg, Czesi minie to szaleństwo!

I rzeczywiście, ten niedoceniany dawniej szwagier jakoś sobie radził. Osławiona Katka, która podobno zawsze wiedziała co robi, była podporą syna i statecznym równoważnikiem szalonej synowej, podporą jego dzieci.

Gienek ciężko wzdychał. Tak, Jakub sobie radził, a on nie potrafił uporać się z kłopotami we własnej chałupie. A najgorszym z tych kłopotów był właśnie ojciec.

Walenty palił papierosa i wygrzewał się na przyzbie starej chałupy. Za nic nie chciał wyprowadzić się do nowego murowanego domu, który wybudowali nieopodal. Bronka miała z tego powodu o wiele więcej pracy i nieustannie suszyła głowę mężowi, by wpłynął na uparciucha.

- Tato? - potrząsała ramieniem starego, który nawet podczas palenia papierosów czy rozmowy, potrafił zapaść w niespodziewaną drzemkę.

- Co? Burza? - przeraził się Waluś i niespokojnie rozejrzał wokół.

- Jeszcze nie... Ale chyba rzeczywiście ostro poleje, bo zachmurzyło się mocno - jęknął Genek bezradnie. - Tato! Dubajka odgraża się, że skargę na was złoży! Nie moglibyście dać jej spokoju? Do więzienia chcecie iść?

- Chcecie! Chcecie! Pewnie, że nie, ino to najprawdziwsza czarownica!

- Tato! Mnie już sił brakuje do ciebie! - westchnął ciężko Gienek i nagle zakręciło mu się w głowie. Bezradnie opadł na przyzbę obok ojca.

- Do ojca z większym szacunkiem! Jaki ja dla ciebie „ty”?

- Przepraszam, tylko teraz tak się mówi do wszystkich, tato! - Ale nie od ojca! - oburzał się Walenty.

- Macie rację, ojcze, macie rację... - to już nie był nawet jęk, a bolesne wycie z głębi serca. Co on miał z tym wszystkim zrobić? Oświecona nagle żona odgrażała się rozwodem, jeśli ojciec nie przeprowadzi się do nowego domu. Stary chciała rozebrać i założyć tam piękny ogródek kwiatowy. Nie! Bronka nie była złą kobietą, tylko zachowanie teścia do cna zjadło jej już nerwy. Od mło-

dości miała kłopoty z uzębieniem, a Waluś dokuczał jej ile wlezie.

- Złapałaś mojego syna na sprytną protezkę? I myślisz coś tu pania? - dopytywał się często i bez żadnego powodu.. Z początku Bronka tylko płakała w ukryciu, ale z biegiem czasu nauczyła się walczyć. - Protezę mogą mieć wszyscy, a chłopcy nie mają pochwy! - chichotała z szyderstwem. Musiała nieźle nienawidzić szalonego teścia.

- Ja mam! - odpierał atak i wcale nie dawało mu to do myślenia. Był przekonany o swojej racji. Jego przecież nigdy nie policzkował wiatr...

- Toście nie chłop, tylko baba! I żebyście się nie ważyli więcej opowiadać moim dzieciom o książkach, któreście to niby przeczytali! Same kłopoty z tych waszych bają!

- O co ci idzie, niewiasto szczerbata?

- O ogniem i moczem! O to mi idzie!

- Szczerbata i na domiar całkiem głupawa! Nie czytałaś takiej książki? - na twarzy teścia rozlewał się złośliwy, zarozumiały uśmiech.

- Nie! Nie mogłam czytać! - Bronce wydawało się, że gniew uniesie ją nad ziemią i lada moment stary dojrzy w niej gołušką czarownicę na miotle.

- Nie!!! Nie czytałam, bo nie ma takiej powieści! Nie ma i nigdy nie było! Nikt jej nie czytał! Rozumiecie? - charczała, próbując się uspokoić.

- To żeś ty nie czytała, nie znaczy, żeś i ja taki niedokształcony! - ze starczym spokojem oznajmiał teść i z wyższością patrzył na zachłystującą się gniewem synową.

- Czytałam! Wyobraźcie sobie, że czytałam, tylko tytuł był inny!

- Aleś ty durna, babo! Patriotyczna książka! Ogniem i moczem!

Bronka przygryzała, wykpiwanymi protezami, wargi do krwi. Z jej błękitnych oczu strzelały wprost iskry, a dłonie zaciskała bezradnie w pięści, aż siniały jej palce.

- Ogniem i mieczem, Sienkiewicza! Nie moczem, mieczem, mieczem, tato! Mocz nie miał nigdy zbyt wielkiego wpływu na losy świata! - wybuchała.

- Głupiaś, szczerbulo, oj głupia! A właśnie że OGNIEM I MOCZEM! - kpił z niej rubasznie, dobrodusznie wręcz.

- Z Lubomirka śmiała się cała klasa, nawet pani nie ukrywała śmiechu!!! A chłopak chciał się tylko pochwalić, jakiego to mądrego ma dziadziusia!

Walenty ciężko westchnął. - Imię nadalście mu takie, co i szyderstwu oprzeć się nie sposób! Wnuk to mój, ano sam nie wiem, jak do niego mówić!

Bronka kulila się wtedy w sobie. Zaczynało jej brakować argumentów. Mogła śmiało walczyć z moczem w powieści Sienkiewicza, z brakami we własnym uzębieniu, ale imię pierwotnego istotnie było zbyt archaiczne, zbyt wydumane, jak na te czasy.

- Przecież to Gienek tak się zaparł! Przecież to on tak właśnie chciał

ochrzcić chłopca! – w oczach pokazywały się łzy i chociaż dzielnie z nim walczyła, spływały po czerwonych, gniewnych policzkach.

– Ano tak, tyś głupia, a i on niestałego rozumu! – wzdychał stary z goryczą.

– To i syn wasz głupi, za takiego go macie? – kiwała.

– I co ja na to poradzę? Nic! Sierotą on, osierocon zbyt wcześnie... Matka wiele nie zdążyła go nauczyć...

– A to pewnie i Mireczka nie utrafiła we wasze gusta! – Bronka uderzała już na oślep, byle tylko ugodzić czymś wrednego teścia.

Wszyscy wiedzieli, że stary wprost uwielbiał wnuczkę, bo podobna była do jego wcześniej zmarłej żony. Dla dziadka Mirusia nie miała żadnych wad i złego słowa na nią nie wolno było powiedzieć. Niekiedy Bronkę ogarniała zazdrość, kiedy widziała oczy starego wpatrzone z miłością w córeczkę i pełne bezbrzeżnego uwielbienia.

– To co inszego! – sapał zmęczony awanturą.

– Co? – dociekała złośliwie.

– Gówno!

– Dobrze, że nie mocz! – szydziła.

– Może to i to!

Nagle Bronce przechodziła cała złość. Patrzyła w wyblakłe, smutne oczy starego, na jego rzadkie siwe włosy i pozostawał w niej już tylko żal.

– Ojczy, o co wam właściwie się rozchodzi? Czemu mi tak dokuczacie, co macie przeciwko mnie i moim dzieciom?

– Twoje protezy!!! Te z góry i te z dołu! – niespodziewanie teść się ożywił i gotów był do dalszych złośliwych zmagani.

Porozumienie nie było możliwe... Stary wariował, a Bronka uciekała w panice. Zwariowała już siostra Gienka, a i jemu niewiele do tego brakowało... Miała z nim dwoje udanych dzieci o pradawnych, słowiańskich imionach, miała dom murowany, wymarzony i, niestety, miała zawsze w pobliżu geniutkowego Ptoka! Nie mogła powiedzieć, że jest szczęśliwa, bo zbyt wiele jej do tego szczęścia brakowało, zbyt wiele! Wieczne utarczki z podstrzelonym Walentym, pilnowanie, by mąż całkiem nie poprzewracał dzieciom w głowach swoimi opowieściami o Ptoku i o dzwonych zaklętych, sprawiały, że nie mogła zasypiać spokojnie.

Martwiła się również o niego, bo on zamykał się w sobie i coraz mniej ze sobą rozmawiali. Właściwie to nawet wołała nie zastanawiać się, o czym on tak intensywnie rozmyśla w długie zimowe wieczory, kiedy patrzy za okno w mrok i nic do niego nie dociera. Bała się, najzwyczajniej się bała tej wiedzy tajemnej, zamkniętej w oczach męża.

Gienek doskonale zdawał sobie sprawę z kłopotów żony, ale jakoś zupełnie nie wiedział, jak jej pomóc. Nie mógł przecież oddać ojca do zakładu, nie dawał

radę nieustannie go pilnować, a sprytnie polowanie Walentego na zdradzieckie czarownice z sąsiedztwa i dokuczanie Bronce weszło już w fazę apogeum.

Coraz częściej w rozmowach z ludźmi padały nazwy zakładów dla obłąkanych i konieczność umieszczenia tam ojca. Zamykał wtedy bezradnie oczy, oddychał głęboko, ale problemy nie znikwały. To, że Czesi odbiła szajba, mogło mieć jeszcze jakieś wytłumaczenie, była przecież naznaczona przez ducha, ale tata? Zawsze był cichym, skromnym człowiekiem, nigdy nie wypychał się na plan pierwszy, nigdy nikogo nie skrzywdził! Stateczny i rozważny pomagał synowi przy rozwijaniu gospodarki, doradzał, załatwiał różne sprawy po urzędach i zawsze był jego podporą.

Kiedy próbował porozmawiać o tym z siostrą, ta zwykle zanosila się złośliwym śmiechem. Owszem, niekiedy udawało mu się trafić na moment przebłyску jej racjonalnego myślenia, jednakże bywały to nader rzadkie chwile i mijały zbyt szybko.

- No i co ja mam robić, Cześka? Czym sobie na to zawiniłem? No, powiedz mi!

- Nie jesteś taki znowu bez winy, braciszku! Murem stałeś za ojcem, kiedy próbowałam go ożenić, murem! Zawsze byliście razem, zawsze przeciwko moim planom! Młody był, kiedy zmarła mama, zbyt młody, by być sam... Już wtedy to rozumiałam! Teraz sperma uwalila mu na mózg, nic innego!

- Cześka! Zmiłuj się, co ty gadasz? - Gienek wstydliwie łapał się za głowę.

Siostra zamyślała się na chwilę, pustym wzrokiem patrzyła za okno. W kolyse darł się Pietrek, jej najmłodszy synek, a na kuchni przypalało się mleko. Otrząsała się z zamyślenia, brała dziecko na ręce, ratowała resztki mleka i patrzyła na brata z pogardą.

- A może i z rozpaczy ojcu we łbie się pokiełbasiło... Może i z rozpaczy...

- Z jakiej rozpaczy? O czym ty gadasz, na miłość Boską?

- Nie pamiętasz, jak cię ojciec nieustannie szukał na Okopie, jak się martwił, że jego dziedzic ukochany wariuje? Parę lat to trwało, może za długo?

- Jakoś wyszedłem z tego bez szwanku, jakoś nie oszalałem, sam jeden, bo i ty masz przecież delikatne kłopoty z myśleniem! Nadal odwiedza cię Ajno z zaświatów? - zawsze ponosiła go wtedy niepotrzebna złość.

Cześka obrażała się, wypominała, że i ojciec i on nigdy nie stronili od kieliszka i wygłaszała całą antyalkoholową pogadankę. Zwykle wówczas miewał dość, ale po jakimś czasie znów wracał do siostry i próbował z nią rozmawiać, tyle, że schemat tych wizyt był zawsze taki sam.

- Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu! - mawiało stare przysłowie, ale u Czesi wszystkie drogi, wszystkie tematy prowadziły do nikczemnych procentów zatruwających ludzkie mózgi i podobno stąd właśnie się brały wszelkie problemy tego świata.

Sama nigdy nie piła, a przecież i tak coś zatrzymało jej myśli! Nie mógł na nią liczyć, nie śmiał nawet marzyć, że siostra wesprze go w zmaganiach z szalonym ojcem, ale ciągle do niej wracał, chyba tylko po to, by się zdenerwować. Była jeszcze jedna ważna przyczyna... Opowieść Jagliny o Ptoku i kłatwie kowala. To ich nadal łączyło...

Właściwie jedynie siostrze mógł szczerze powiedzieć o tym, jak często pocłukuje go przedwieczny wiatr i domaga się spełnienia dawnej przysięgi. Oczywiście Czesia nie zwracała na to należytej uwagi, nawet słuchać nie chciała o dziecinnych bajaniach sprzed lat, jednak było w niej to coś, naprawdę było! Może i głęboko ukryte, zakamuflowane przez czas, zapomniane ale wciąż próbujące się wydostać na zewnątrz w różny sposób... Swoisty rodzaj szaleństwa Czesi miał przecież swoją przyczynę. Babka Jaglina powiedziała kiedyś, że siostra jest naznaczona przez duchy, które nie mogą opuścić tego miejsca, że trzeba im pomóc w wędrówce w zaświaty... Tylko jak?

- Tato? Chodźcie do chałupy, padać zaczyna! - znowu musiał poruszyć ramieniem ojca, bo podczas jego gorzkich rozmyślań, stary ponownie zasnął.

- A tak, tak! - rozbudził się Walenty i potulnie pozwolił się zaprowadzić do izby. Stara, wypaczona podłoga skrzypiała niemiłosiernie przy każdym kroku, małżeńskie łóżko rodziców, zajmujące centralne miejsce izby, stanowiło relikwiarz dobrych czasów i rozbudzało ciepłe uczucia. W tym miejscu Gienka zawsze ogarniało poczucie bezpieczeństwa i nadziei, że ze wszystkim doskonale sobie poradzi. Widział siebie, małego brzdąca sprzed lat, jak wali przerażoną głową w brzuch śpiącej mamy w środku nocy.

- Mamo! Mamo! Znow śnił mi się Ptok! Narzał mnie w Rzyce!

- To tylko sen, syneczku, tylko sen! - przytuliła go uśmiechnięta czule mama.

- Do Rzyki daleko, bardzo daleko...

- Daleko... Daleko... - powtarzał bezmyślnie jakoś dziwnie uspokojony i zasypiał bezpiecznie w łóżku rodziców, pomiędzy nimi.

Patrzył teraz na wypłowiałą fotografię młodej mamy, bo ona zawsze miała już taka pozostać, piękna i młoda, młodsza dużo od niego. Na pewno była też szczęśliwsza w tych swoich zaświatach, ponieważ nie musiała się zmagać z szaleństwem najbliższych. Walenty podążył za jego wzrokiem i jakieś trzeźwe, niezwykłe rozsądne myśli przedarły się przez mroki otępienia. - Gieniutek? Synku?

- Tak, tato?

- Ona była tu wczorajszej nocy! Mama była tu i kazała ci powiedzieć, że byś się mną zbyt nie frasował... Nie musisz mnie oddawać, synu, do tego zakładu, nie musisz! Strzymaj jeszcze trochę, strzymaj... Ona obiecała mi, że niedługo umrę, że ona po mnie przyjdzie. - szybkim ruchem dłoni, jakby nieco wstydliwym, wskazał zdjęcie.

Gienek miał ochotę zapłakać jak dziecko. Ogarnął go nagły żal, że to nie

może być prawdą, że to tylko kolejna wizja szalonego ojca.

- Tato! - z głębi piersi wyrwało mu się ciężkie, mroczne westchnienie. Skąd ojciec w ogóle wiedział, że zaczyna poważnie rozważać sprawę umieszczenia go w zakładzie? Nigdy z nim o tym nie mówił, w taki sposób, by można się było domyślić. Straszyl go wprawdzie, ale przecież straszyl tak od wielu, wielu już lat.

- Wiem, że ci ciężko, synu! Wiem... Zwariowałem, prawda? - Ojciec przemawiał tak mądrze, tak rozsądnie, nie sposób było się oprzeć wrażeniu, że naprawdę ma przebłysk normalnej świadomości. - Trochę, tato!

- Nikt inny nie widuje goleńkiew Dubajki latającej na miotle?

- Nikt, tato, poza wami! - Gienek nie mógł się nie uśmiechnąć.

- I niech nikt nie żałuje, bo szkaradna ona, pokraczna, obrzydliwie tłusta i sam się nieraz dziwuję, co ją ta miotła utrzymać zdoła! - roześmiał się Walenty, jak dawniej, jak w czasach, kiedy pokpiwali sobie z synem z kulinarnych talentów Czesi.

- Oj, tato! - w oczach Gienka ukazały się łzy, zupełnie nieplanowanego wzruszenia.

- Ta twoja Bronka dobra jest i całkiem niegłupia... Szanuj ją, synu, i przepróś ode mnie! Sam nie wiem, co mnie popycha do tego, by jej tak dokuczać... Sam nie wiem!

- Ona wszystko rozumie! - skłamał Gienek.

- I dzwonów zaklętych więcej nie poszukuj, bo ich nie najdziesz! Nie ty!

- Wiem, tato, wiem!

Nad połatanym dachem drewnianego domu ukazał się jasny sierp księżyca, wyprowadzającego gwiazdy na mroczny spacer po palecie granatowego nieba. W kroplach wieczornej rosy, rozblęskiej światłami nocy, zdawały się skrzyć łzy... W sadzie wiatr wygrywał melodie w koronach zdziczałych już prawie drzew, jakby śpiewał właśnie dla Gienka, jakby to jemu przypominał o niespełnionych przysięgach. Kolejne policzki wichru były mu chyba potrzebne do istnienia, a może miały tylko dawać do zrozumienia, że na bursztynowych ścierniskach ciągle tańczą zapomniane z czasem duchy i wciąż czekają na pomoc z realnego świata. Może i mama brała udział w wygrywanych przez wiatr na wierzbowych fujarkach polnych serenadach? Co za myśli idiotyczne? Czyżby opowieść starej Jagliny wywarła na nim aż takie piętno? Minęło przecież już osiem wieków, kiedy to nieszczęśliwy kowal z osady na Okopie wyruszył na wędrowną w poszukiwaniu wiedzy o tajemniczym wytwarzaniu dzwonów, bijących na chwałę Boga, minęło... Nie zdążył wrócić przed najazdem tatarskim, bo przyjaciele z pobliskiej sadyby miodem syconym go uraczyli, bo rozum mu się zmienił i zagmatwał! Córuchny jego w jasyr poszły i pewnikiem bękarty tatarskie rozdziły! Żonie brzemiennej brzuch rozplątano i syn jego, ten upragniony dziedzic nie spojrzal już na schedę swoją żyjącymi oczyma... Przekleństwo!

Piękna chwila międzypokoleniowego porozumienia minęła nagle bez ostrzeżenia. Wzrok starego zmacił się naraz, zmętniał. Popatrzył na syna, jak na kogoś obcego. Ze złością stracił jego dłoń ze swojego ramienia. – A ty tu jeszcze czego? Spać pora, bo czarownice o północy wylatują! Precz! Odpocząć muszę, bo i potem sił mi zbraknie, by je wszystkie połapać! – rozkrzyczał się głośno, gniewnie.

Gienka ogarnęła rozpacz. Koniec! Tyle zostało z rozsądku ojca. – Dobranoc, tato! – powiedział tylko zduszonym głosem i dokładnie zamknął na klucz drzwi sieni. Miał nadzieję, że tej nocy ojciec zaśnie zmęczony przeblyskiem dawnej świadomości i nie wyruszy przez okno na sławetne polowanie za czarownicami. Gienka naszła jeszcze niepokoniona ochota, by pospacerować po sadzie. Właśnie tam, w tym zapuszczonym miejscu wydawało mu się, że czas splata niepokorne warkocze z siwych włosów praczasów minionych i czarnych loków terażniejszości. Może i tak było, tylko jego wciąż policzkował nieprzyjazny wiatr. Nic więcej...

Kładąc się do łóżka, obok pochrapującej Bronki, nieopatrznie zerknął na jej obrzydliwe protezy włożone do szklanki z wodą. Niespodziewanie zrobiło mu się niedobrze, popędził do łazienki i zwymiotował. Z lustra, obłożonego błękitnymi kafelkami, patrzyła na niego zielona, zmęczona twarz. Odkręcił kran i puścił gorącą wodę. Złośliwe lustro zaparowało, zmętniało i kiepski wizerunek znikł. Przez moment, przez króciutką sekundę, wydawało mu się wprawdzie, że dalej w tle, obok swojej obmierzłej gęby, widzi jakąś przejrzystą postać nie z tego świata, ale wrażenie szybko minęło. Westchnął z niebotyczną ulgą. Najwyższy czas na sen, na zapomnienie o wszystkim, co gnębiło go w ciągu dnia!

Kiedy włókł się z łazienki, noga za nogą nieśpiesznie, człapał w lekko podniszczonych pantoflach, z dziecinnego pokoju wypadła rozczochrana, zaspasana Mireczka i z ogromną siłą palnęła go głową w brzuch. Przygiął się, jęknął z bólu – Tatusiu! Tatusiu! – wysapała żałośnie.

Opanował się i przytulił płową główkę mocno do siebie. Boże, jak ta jego mała córeczka przypominała mu mamę! Rude włosy, pełno zalotnych piegów na buzi i te błękitne oczy! Niekiedy kojarzyła mu się i z młodą, nieofarbowaną jeszcze, Czesią, ale najczęściej właśnie z mamą. – Cóż tam? Zły sen, skarbeczku? – delikatnie, nieśmiało wręcz pogładził rude, zmierzwione włoski. Swoją drogą, to Bronka przesadzała z tą całą emancypacją i obcinała prawie przy głowie piękne włosy dziewczynki. Moda modą, ale Mireczka o wiele lepiej wyglądałaby w dwóch płowych, błyszczących warkoczach. Postanowił, że jutro musi koniecznie porozmawiać o tym z żoną. – No, coś ci się tak straszno śniło, kochanie?

– Tatusiu! Ptok mi się śnił! Był przerażający i narzał Lubomirka w Rzyce! – bardziej przytomnie oznajmiła dziewczynka.



- E, tam! To tylko głupi sen! Przecież nasz Lubomirek nie nadużywa alkoholu, nawet mleka ciężko w niego wdusić! To tylko sen, córuś, tylko sen! - roześmiał się ojciec.

- Ale będzie nadużywał, będzie! Jak tylko dorośnie - rozpląkała się Mireczka. Błękitne oczy wpiły się naraz w ojca, jak najbardziej przytomne i rozsądne. Dziewczynka zdarła wysoko główkę do góry i patrzyła wprost w jego oczy. - Ale Ptok powiedział, że to właśnie ja odnajdę te dzwony zakłętę! Boję się! Bardzo się boję, tatusiu!

- To przecież tylko sen! - westchnął z lekką zaniepokojony.

- Ja je odnajdę, tatusiu!! Wiem to na pewno! Zobaczysz jeszcze! I kowała uwolnię i Ptoka! Zobaczysz!!!

- Może i zobaczą! - nieszczercze roześmiał się Gienek. Potrzęsnał posiwiałą czupryną, zaniósł ją z powrotem do łóżka, przykrył kolorową kołderką, pocałował na dobranoc. Nie wierzył w sny córeczki, przecież on też doświadczał ich wielokrotnie i nic z tego nie wynikało. Mijające lata ubierały się stosownie w pory roku, wiara nie przenosiła gór, a obok depczącej starości jedynie mrok wydłużał cienie z dawnych opowieści. Na wzgórzu w głębi prastarego lasu, gdzie podobno wciąż wyrastała niewidzialna, pąsowa róża pamięci, nie było nic... Jakby tylko dorodne trujące muchomory opanowały ten skrawek ziemi! I wciąż policzkował tam wiatr tych, co próbowali odnaleźć przyczynę klątwy nad wioską. Nie taki los wymarzył sobie Gienek dla swojej córeczki, nie taki! Zaklął szpetnie, ubrał stare gumki i postanowił wyruszyć na poszukiwania... Niech policzkuje go wiatr, niech straszą słowiańskie duchy, on odnajdzie wreszcie przyczynę klątwy i nie pozwoli, by jego córka doświadczyła życia zatrutego starymi baśniami... *Wiatr w sadzie zagra komuś...* O, nie! Niech gra już tylko jemu!

NAGRODA BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

MAŁGORZATA BORZESZKOWSKA

### DROGA W ZUPEŁNEJ CISZY

znalazłam sobie drogę,  
cóż, właściwie znalazłeś ją ty;  
drogę wyciętą w ciszy,  
obłożoną plastrami zbóż  
z fastrygą lotnych maków  
i chabrów

droga wykrojona  
w długich, późnych cieniach,  
słońcu nurkującym w jęczmieniu,

jest szara w czerwone cętki,  
pełźnie przede mną, zanurza coraz głębiej  
we wschodzący mrokiem wieczór

wchodzimy w milczenie,  
w bezgłośną nieobecność nas

znalazłeś dla nas drogę,  
stoiśmy prawie blisko,  
a ona, jak ruchome chodniki na lotniskach,  
prowadzi nas w dwóch,  
zupełnie niezbieżnych kierunkach

## JESIEŃ W GÓRACH

Rozpaliła już jesień ogniska na halach.  
Płożą się dymy nisko, mieszają z chmurami.  
Z każdym opadłym liściem lato się oddala,  
schodzi ze szlaków w dolinę. Już jesień nad nami.

Cicho. Mchy się wspinają uparcie na skały,  
kuli się w sobie paproć pod gradem żołądźci,  
tylko kosodrzewiny stoją, tak jak stały.  
Zrudziały anioł wrześnieowy przysiadł na gałęzi.

Ciszej. Listopadowo płyną dni do grudnia,  
ale wciąż czerwieniami zaplamione zbocza.  
Zapadają się deszcze w dolin złote studnie.  
Jesień jak akwarelka, w lustrach podobłocza.

## PAN K. I LUSTERKA

podobno dusze niewiele potrafią  
poza siedzeniem na ramieniu  
i ucieczką w pięty  
czasem lśnią w ciemnościach  
i przenikają znienacka

jednak jakaś dobra dusza  
zawiesiła na gałęziach jabłoni  
lusterka

pan K. zapadł na chichot losu  
zapadł nie za wysoko  
i niezbyt nisko  
ot tak aby sięgnąć nieba  
czubkiem słowa  
zerka

widzi w okruchach starego lustra  
pory roku

wirujące na wietrze  
porysowane pąki zamieniają się  
w rozmytą zieloną akwarelkę  
potem w cząstki jabłek  
pokrojone wzdłuż i wszerz  
gąsienice z jednym okiem nogą  
i fragmenty rąk  
zdejmujące z nieba czerwień

czasem przysiądzie lewe skrzydło szpaka  
oko wróbla zamigocze  
kątem oka -  
świat jak puzzle  
nieposkładany

wreszcie na szkle osiadają krople  
listopada  
zamarzają  
pan K. złości się  
że już zima przeciera lusterkowe okna  
oszronioną dłonią

ułożony nie za wysoko nie za nisko  
widzi tylko śnieżne gwiazdki  
fraktale zniecierpliwienia

czuje zapach starego srebra

dobra dusza opada na jabłoni  
jak krzywo pocięte confetti

## POKÓJ BEZ WIDOKU NA DZIECIŃSTWO

drzewa urosły  
drzewa wystrzeliły w szare niebo  
zieleń wprost w słońce  
wyrzuciły zbyt pośpiesznie

okrzepliły za bardzo  
zasłoniły widok na dzieciństwo  
czerwony klon ze trzy jarzębiny  
topole jak siedmioramiennie świeczniki  
zapaliły się tak jasno

wierzba z artretyzmem w gałęziach  
i coś czego nawet nie nazwę  
ukrywają pośród liści moje podwórko  
z szarym piaskiem i trzepakami-  
łodziami wikingów

wróble wydziobują słońce

urośli drzewa bzy i dzikie róże  
nie dostrzegę już wielkiej lokomotywy  
czasem przemknie elektrowóz dyskretnie  
szyby nie drżą pod okładem z zielonego cienia

dziwne lecz nie ma tam mnie  
ani Ewki zwanej Dziką  
noże leżą bezpiecznie na dnie szuflad  
a kapsle nie wypadają z piaskowych zakrętów  
monte carlo

widok na dzieciństwo ubrał się w trawę  
i łopian  
domom nad Strzyżą opatrzone zaropiałe rany  
po pociskach z wojny czy gdańskiego grudnia  
zamalowano gotyckie litery  
i kotwice które przymarzły do ścian  
z tydzień przed pasterką

nikt już nie odczyta manifestu na murze:  
jestem poetą  
mam na to papiery

NAGRODA IM. JÓZEFA MAJKOWSKIEGO  
KATOLICKIEGO STOWARZYSZENIA  
CIVITAS CHRISTIANA W GDAŃSKU

STANISŁAW ZASADA

DOBRY LUDZIE SĄ WSZĘDZIE

Chciał być organistą. Jednak rodzice kupili mu skrzypce.

– Skrzypce były mi za ciche. Potrzebowałem czegoś większego, gdzie byłoby więcej dźwięków – powie po latach. W ciemnym garniturze będzie siedział za organami w gotyckim kościele w pewnym polskim mieście.

Był tu już kiedyś. Sześćdziesiąt lat temu, w mundurze Wehrmachtu.

\*

Lato 1941.

Niemiecki sierżant jedzie pociągiem w okupowanej Polsce. Ma przy sobie duży pakunek przewiązany sznurkiem.

Prosto z dworca idzie w stronę gotyckiego kościoła. Pakunek oddaje księdzu. Za chwilę do księdza zapuka gestapo.

\*

Wiosna 1980. Polskie miasto ze starą katedrą.

W grupie niemieckich pielgrzymów starsza Polka wypatruje starszego mężczyzny. Poznaje go, podbiega, zarzuca mu ręce na szyję i krzyczy: Uli!

Oboje płaczą.

### Zdjęcia

Fotografia pierwsza

Mężczyzna o chłopczej twarzy w mundurze sierżanta Wehrmachtu może mieć najwyżej dwadzieścia parę lat. Zdjęcie jest pozowane, żołnierz patrzy prosto w obiektyw. Zrobiono je na początku wojny w okupowanym Inowrocławiu. Fotograf musiał mieć dobry sprzęt – jeszcze dzisiaj zdjęcie jest wyraziste, jakby zrobiono je wczoraj.

### Fotografia druga

Ubrany w czerwony ornat Jan Paweł II rozmawia z siwym jak gołębek staruszkciem, ściska mu rękę. Zdjęcie zrobiono 3 czerwca 1997 roku w Gnieźnie – papież skończył właśnie odprawiać mszę z okazji tysiąclecia męczeństwa Świętego Wojciecha, patrona Polski. Gdzieś w tle, na ołtarzu, stoi srebrna trumienka z relikwiami męczennika.

### Komentarz:

Mężczyzna w niemieckim mundurze z fotografii pierwszej i staruszek rozmawiający z Janem Pawłem II na zdjęciu drugim to ta sama osoba.

### Wspomnienia

Ze wspomnień Marii Magdaleny Frencel:

„Dowiedzieliśmy się, że mam być wywieziona na roboty do Niemiec. Rodzina bała się, że mogę tego nie wytrzymać, gdyż od najmłodszych lata byłam bardzo chorowita. Opowiedzieliśmy o tym księdzu Mateuszowi. Zaproponował, abym pojechała z nim do Inowrocławia, a na miejscu on już coś wymyśli. Cóż było robić? Bałam się wywózki i zabrałam się z nim”.

### Akcent

On jest Czechem, ona Ślązaczką. Nazywają się Mattausch, mieszkają niedaleko Kolonii. W roku 1910 rodzi im się syn, nazwą go Paul. Przeprowadzą się do Wrocławia – wtedy Breslau. Paul zda maturę i pójdzie do katolickiego seminarium, gdzie kształcą niemieckich księży.

Pięć lat później w stojącym do dziś domu w Winden, małym miasteczku między Kolonią a Aachen, rodzi się inny chłopiec. Katoliccy rodzice: Arnold i Margareta Thelenowie swojemu piątemu dziecku dają na chrzcie Urban.

Kiedy chłopiec będzie miał kilka lat, zapala miłością do muzyki organowej. Co rusz wyrwał się będzie do sąsiedniej wioski: ojciec kolegi był tam organistą, czasem pozwalał mu usiąść za kościelnymi organami. Jednak rodzice kupili Urbanowi skrzypce.

Mieszkańcy Kolonii i Winden (dzieli je niecałe sto kilometrów) mówią tym samym akcentem. Na razie to szczegól.

## **Zdjęcia**

### Fotografia trzecia

Przedostatnia sobota maja 1937 roku. Mury gnieźnieńskiego seminarium opuszcza kolejny rocznik alumnów. Do zdjęcia ustawiło się dwóch mężczyzn w sutanach. Wyższy jest jeszcze klerykiem (święcenia przyjmie za dwa lata), w czasie okupacji będzie kapłanem Armii Krajowej, kiedyś zostanie biskupem. Niższy, z zaczesanymi na bok jasnymi włosami, został właśnie księdzem i jest obywatelem Trzeciej Rzeszy.

### Fotografia czwarta

Wysoki młody mężczyzna w marynarce opiera się o żelazne ogrodzenie, w tle widać mury gotyckiej świątyni. Zdjęcie zrobiono w 1942 roku w okupowanej Warszawie.

### Komentarz:

Wyższy mężczyzna z fotografii trzeciej i mężczyzna w marynarce z czwartej to ta sama osoba: późniejszy biskup Jan Michalski. W czasie okupacji ukrywał się w Warszawie, udając młynarza. Falszywe papiery załatwił mu mężczyzna z fotografii pierwszej. Ten sam, który kilkadziesiąt lat później rozmawiał z papieżem. Pośrednikiem był ksiądz z fotografii trzeciej, z niemieckim paszportem w kieszeni.

## **Pytania**

Skąd niemiecki alumn znalazł się w gnieźnieńskim seminarium?

Co łączy go z przyszłym kapłanem Armii Krajowej, który kiedyś będzie biskupem?

O czym i dlaczego papież rozmawiał z byłym oficerem armii Hitlera?

Co ma do rzeczy, że mieszkańcy Kolonii i Winden mówią tym samym akcentem?

Kto to jest Maria Magdalena Frenzel?

Co wiózł w pociągu sierżant Wehrmachtu?

Kim jest Uli?

## **Kardynał**

Sporo wiemy o kardynale, napisano o nim obszerne rozprawy. Jego życiorys dobrze oddaje bolesne relacje Niemców z Polakami pierwszej połowy dwudziestego wieku. W końcu od pierwszej wojny światowej zasiadał na stolicy biskupiej w Breslau.



Gdy po zaborach odradza się Polska, kardynał Adolf Bertram nie chce przyłączenia Górnego Śląska do ziem polskich. – Proszę nie zapominać, że jestem biskupem niemieckim – oświadcza Polakom.

Polacy to większość wiernych w jego wielkiej diecezji. Bertram im sprzyja: dba, by księża znali język polski i polskie pieśni religijne. Nie z miłości do Polaków – wymaga tego niemiecka racja stanu. Kardynał liczy, że jak zjedna sobie polskich katolików, to ci porzucą marzenia o własnym biskupstwie. Przeliczył się – z przyłączonych do Polski części ziem diecezji wrocławskiej papież ustanowił biskupstwo katowickie.

Bertram z dobrych kontaktów z Polakami nie rezygnuje. Stąd można się spodziewać, że kleryk Paul Mattausch spadł mu jak z nieba: któregoś dnia oświadczył, że chce studiować w Polsce, żeby poznać język.

Z błogosławieństwem kardynała Mattausch jedzie do Gniezna. W przedostatnią sobotę maja 1937 roku przyjmie w katedrze święcenia i zrobi sobie z kolegą pamiątkowe zdjęcie.

## **Wujek**

Z Gniezna do Bydgoszczy jest niedaleko, godzina jazdy koleją. Przy ulicy Grunwaldzkiej, w kamienicy pod numerem trzydziestym dziewiątym, mieszka przed wojną rodzina Michalskich.

Kleryk Jan często przyjeżdża w odwiedziny do rodzinnego domu. Zabiera ze sobą Paula Mattauscha – zaprzyjaźnili się w seminarium. Paul jest trochę starszy od Jana. Maria Magdalena, siostra Jana, zwraca się do niego pieszczotliwie: Wujek Paweł.

Kobieta po wojnie wyjdzie za mąż i przyjmie nazwisko Frenzel. Na starość każe spisać okupacyjne wspomnienia.

## **Wehrmacht**

Kiedy mężczyzna z trzeciej fotografii zostaje księdzem, ten z pierwszej dostaje powołanie do Wehrmachtu. Jeszcze nic o sobie nie wiedzą.

Jesienią trzydziestego dziewiątego roku sierżant Urban Thelen jest w okupowanej Polsce – pracuje w Wojskowym Urzędzie Meldunkowym w Inowrocławu.

wiu. Może swobodnie poruszać się po Kraju Warty, ma znajomości w urzędach i nie musi nocować w koszarach. Po pracy zdejmuje mundur i zakłada cywilne ubranie.

Któregoś dnia munduru nie zdejmie – pójdzie do fotografa, zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Fotograf będzie miał dobry sprzęt. Jeszcze po kilkudziesięciu latach fotografia będzie tak wyraźna, jakby zrobiono ją wczoraj.

## **Paszport**

Ksiądz Mattausch nie wraca po święceniach do Rzeszy. Prymas August Hlond posyła go do Czerniejewa koło Gniezna. Gotycki kościół, który po remoncie zatracił dawny styl, proboszcz społecznik i życzliwi parafianie. Młodemu wikaremu podoba się tutaj. Występuje o polskie obywatelstwo. Jednak urzędowe procedury są długie – gdy Hitler napada na Polskę, ksiądz Mattausch ma wciąż w kieszeni niemiecki paszport.

## **Spotkanie**

Rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

- Ksiądz jest z Kolonii? – spytał siedzący za biurkiem podoficer.
- Po akcencie poznaję, że pan też – odpowiedział duchowny.
- Dokładnie z Winden, to między Kolonią a Aachen – poprawił wojskowy.

Dalej musiało być mniej przyjemnie.

- Kardynał Bertram przysłał mnie, żebym się opiekował niemieckimi katolikami
- powiedział duchowny (chodziło o przesiedleńców).

Dodał po chwili: – Ale ta jurysdykcja obejmuje też Polaków.

- To zabronione! – powiedział wojskowy.
- Kościół jest jeden – odpowiedział duchowny.

Wojskowy to mężczyzna z pierwszej fotografii. Duchowny to ksiądz z jasnymi, zaczesanymi na bok włosami z fotografii trzeciej. Rozmowa odbyła się na początku 1940 roku w Wojskowym Urzędzie Meldunkowym w Inowrocławiu.

Ksiądz Paul Mattausch i sierżant Urban Thelen zaprzyjaźnią się. W końcu są krajanami.

## **Gestapo**

Gestapo rozpytuje o księdza Jana Michalskiego – trzy miesiące przed wybuchem wojny zdążył przyjąć święcenia. Teraz się ukrywa. Nawet rodzina nie wie, gdzie jest.

## Świątynia

Potężny fronton gotyckiego kościoła Świętego Mikołaja w Inowrocławiu połyskuje w jesiennym słońcu. Otoczona starymi lipami i kasztanowcami świątynia pamięta początki piętnastego wieku. Historia mówi, że królowa Jadwiga miała tu przepowiedzieć klęskę Krzyżakom. Kilkanaście lat później Zakon przegrał bitwę pod Grunwaldem.

W czasie okupacji kościół Świętego Mikołaja to jedyna czynna świątynia w mieście. Proboszcz Paul Mattausch ma posługiwać tylko Niemcom, ale potajemnie chrzci i spowiada Polaków. Thelen służy mu do mszy, czasami gra na organach.

Oprócz służby w kościele, niemieckiego księdza i oficera Wehrmachtu łączy coś jeszcze: Mattausch i Thelen konspirują przeciwko Trzeciej Rzeszy.

## Gospośia

Maria Magdalena Michalska, która po wojnie wyjdzie za mąż i przyjmie nazwisko Frencl, dotarła do Inowrocławia. Ksiądz Mattausch przynosi jej fałszywe dokumenty – Maria jest teraz gospośią na plebanii księdza. Chroni ją to przed wywózką na roboty.

Pod koniec życia będzie wspominać: „Po wielu latach dowiedziałam się, że ten dokument zawdzięczam Urbanowi Thelenowi. To on poprzez swojego znajomego z Urzędu Pracy załatwił mi tę kenkartę”.

Maria poznała Urbana Thelena na plebanii. Nazywała go: Uli.

## Przesłuchanie

Gestapo wie, że Mattausch przyjaźnił się przed wojną z księdzem Michalskim. I że potajemnie chrzci i spowiada Polaków. Oficerowie z trupią czaszką często go przesłuchują, robią rewizje na plebanii.

Któregoś dnia złożyła księdzu propozycję: chcą, żeby zrzucił sutannę i wstąpił do służby. Ksiądz przypomni im esesmańską dewizę. Brzmi: „Mój honor to wierność!” Mattausch odpowiada, że ślubował już przed Bogiem. – Pan chyba nie żąda od Niemca, żeby złamał raz złożoną przysięgę? – pyta beczelnie esesmana.

Więcej propozycji mu nie złoży.

## **Kurier**

Kardynał Bertram to postać złożona. Co roku wysyła życzenia urodzinowe wodzowi Trzeciej Rzeszy, a jednocześnie nie podoba mu się segregacja narodowa w kościołach. Swoim księżom przypomina, że nie mają prawa odmówić spowiedzi Polakom.

W ogóle martwi się o katolików w okupowanej Polsce. Księdzu Mattauschowi zleci tajną misję: kapłan ma być jego łącznikiem z wysoko postawionym polskim duchownym w Gnieźnie, który został namiestnikiem diecezji po wyjeździe z kraju prymasa Hłonda.

Ale za Mattauschem wciąż chodzi gestapo. Misji podejmie się Urban Thelen.

Kilka razy w miesiącu jeździ do Gniezna z tajną pocztą. Z dworca zachodzi do zaufanego kościelnego, przebiera się w cywilne ciuchy jego syna i idzie do polskiego księdza, który mieszka koło katedry. Tamten przegląda papiery, podpisuje i oddaje Thelenowi, który przywozi je z powrotem Mattauschowi – a ten odsyła dokumenty do Bertrama.

Sierżant Thelen wie, że gdy wpadnie, czeka go pluton egzekucyjny.

## **Kenkarta**

Kilkadziesiąt lat po wojnie Maria Frencl wspomina zdarzenie z okupacji: „Ktoś przyszedł do biura księdza. Po chwili zostałam zawołana przez wujka Pawła. W jego biurze stał mój brat, ksiądz Jan Michalski. Radość była ogromna! Powiedział mi, że się ukrywa i nikt nie może wiedzieć, że tu jest”.

Do biura wchodzi Urban Thelen. Gospościa zostawia ich samych. Trzej mężczyźni długo rozmawiają.

Maria Frencl: „Pod wieczór brat pożegnał się ze mną. Od tej pory nigdy więcej, aż do zakończenia wojny, go nie widziałam. Wiedziałam tylko, że ukrywa się gdzieś w Generalnej Guberni, ale słuch o nim zaginął”.

Ksiądz Michalski nie od razu pojechał do Generalnej Guberni. Przez trzy tygodnie ukrywał się w wieży kościoła Świętego Mikołaja. Potem za fałszywą kenkartą (przyszły biskup był rzekomo młynarzem i szukał pracy) udał się do Warszawy. Był kapłanem Armii Krajowej i wziął udział w powstaniu. Wcześniej, przed jednym z kościołów, zrobił sobie pamiątkowe zdjęcie.

Po wojnie Maria dowie się, że fałszywą kenkartę bratu załatwił Urban Thelen.

### **Patron**

Był biskupem, mnichem, misjonarzem, zakładał klasztory. Przemierzył całą Europę, przyjaźnił się z Ottonem III, cesarzem Niemiec. Wreszcie przybył na gnieźnieński dwór księcia Bolesława, a stamtąd udał się na północ ewangelizować Prusów. Zginął od pogańskiej włóczni 23 kwietnia 997 roku, Bolesław Chrobry sprowadził jego ciało.

Wkrótce papież ogłosi misjonarza świętym, a do jego grobu w Gnieźnie przybędzie cesarz Otton (podobno ostatnie kilometry szedł boso, w pokutnym stroju). Święty zostanie patronem Polski, jego relikwie będą złożone w srebrnej trumience w gnieźnieńskiej katedrze.

Hitlerowcy dobrze wiedzą, kim dla Polaków jest Święty Wojciech – w czasach zaboru pruskiego w dziewięćsetlecie jego męczeństwa urządzili patriotyczne obchody. Dla relikwii w srebrnej trumience to niedobrze.

### **Relikwie**

Urban Thelen się spieszy. Porządkuje papiery i łapie pociąg do Gniezna. Na miejscu nie przebiera się w cywilne ciuchy, szkoda mu czasu. Od polskiego księdza odbiera duży pakunek owinięty w szary papier przewiązany sznurkiem i wraca do Inowrocławia.

Jest 18 lipca 1941. Rano zdenerwowany Mattausch zadzwonił, że Niemcy zamieniają katedrę w salę koncertową. W Gnieźnie zaczęli się bać, że hitlerowcy zniszczą relikwie. Nocą kościelny zabrał je potajemnie ze srebrnej trumienki. Mattausch ubłagał Thelena, żeby przywiózł je do Inowrocławia.

Powrotny pociąg jest przepełniony, ale w przedziale Thelena jakoś dziwnie pusto. Nikt nie chce się dosiąść do niemieckiego oficera. Urban jest spięty. Podróż wlecze mu się w nieskończoność.

Prosto z dworca idzie w stronę kościoła Świętego Mikołaja. Wie, że może być śledzony. Na plebanii oddaje pakunek Mattauschowi i znika. Za chwilę do księdza zapuka gestapo. (Przyszli sprawdzić, czy ksiądz kogoś nie ukrywa. Pakunku nie znaleźli).

Na drugi dzień Mattausch zamuruje relikwie pod posadzką w zakrystii.

## **Tajemnica**

Dwa miesiące po kapitulacji Trzeciej Rzeszy umiera kardynał Bertram (przed śmiercią każe jeszcze modlić się swoim proboszczom za duszę Adolfa Hitlera). Kilkadziesiąt lat później polski kardynał sprowadzi jego szczątki do wrocławskiej katedry.

Po ucieczce Niemców i przejściu zwycięskiej armii ksiądz Mattausch wydobędzie ze skrytki relikwie i odda je do Gniezna. Przez jakiś czas ukrywa się w Bydgoszczy, w domu Michalskich – ma przecież niemiecki paszport. W końcu dostanie polskie obywatelstwo i jako Paweł Matausz będzie proboszczem w Wierzchucinie Królewskim koło Bydgoszczy. Umrze w 1991 roku.

Urban Thelen wraca po wojnie do rodzinnego Winden i kończy Wydział Muzyki Kościelnej w Aachen. Do emerytury będzie organistą.

O tym, że ocalał relikwie świętego, nikomu nie mówi. W Polsce też o tym cicho.

## **Pielgrzymka**

Maria Magdalena Frencel stoi z koleżanką przed katedrą w Gnieźnie. W grupie pielgrzymów z Niemiec wypatruje Urbana Thelena (dowiedziała się od brata, że ma przyjechać). Nie widzieli się prawie czterdzieści lat. Czy go pozna?

Jest kwiecień 1980 roku, tysiąc lat od narodzin Ottona III, który szedł boso do grobu Wojciecha. Cesarz urodził się w Reichswaldzie koło Kleve. Parafianie z Kleve przyjechali teraz do Gniezna, żeby pomodlić się przy relikwiach męczennika, tak jak tysiąc lat temu ich sławny kraj.

Urban Thelen zabrał się z nimi. Biskup Jan Michalski kazał już posłać po jego bagaże. Siostra biskupa patrzy na przybyłych do katedry Niemców. Kiedy widzi uśmiechającego się pogodnie mężczyznę – nie ma wątpliwości. Nie zważa na powagę miejsca ani swój wiek. Biegnie, zarzuca mu ręce na szyję i krzyczy: Uli! Też ją poznał. Oboje niewiele mówią. Dwadzieścia lat później Maria Frencel opowie: „Z radości spotkania oboje szlochaliśmy spleceni ramionami”.

Można było wykorzystać pobyt Thelena i nagłośnić uratowanie relikwii w czasie wojny. Ale sprawa nie jest prosta: w Polsce rządzą komuniści, nie ma jeszcze „Solidarności”, władza wilkiem patrzy na Kościół i na Niemców z Zachodu. Gdyby jeszcze Urban przyjechał z NRD, to co innego. Ale mieszkał po drugiej stronie Łaby, tej niewłaściwej.

## **Incydent**

Historia brawurowego uratowania relikwii Wojciecha poszłaby pewnie w zapomnienie. Gdyby nie incydent.

Incydent wywołał pewien dziennikarz. „Małe miasteczko w Polsce, Gniezno z pustym relikwiarzem, pretenduje do europejskiej stolicy kultu świętego Wojciecha” – wyśmiewał się w niemieckiej gazecie.

Gazeta wydawana jest przez byłych Warmiaków, ma niewielki nakład. To przypadek, że wpadła w ręce Urbana Thelena. Oburzył się na artykuł. Redakcja musiała wydrukować sprostowanie.

Gniezno przygotowuje się akurat do obchodów: zbliża się tysiąc lat od męczeńskiej śmierci patrona Polski. Publikacja ociera się o międzynarodowy skandal – ambasady niemiecka w Warszawie i polska w Berlinie wymieniają noty.

Arcybiskup Gniezna zaprasza Urbana Thelena na jubileuszowe obchody. Po nabożeństwie były sierżant Wehrmachtu podejździe do Jana Pawła II. – Swoim czynem wyświadczył pan Kościołowi w Polsce wielką przysługę – powie mu papież.

## **Medal**

Urban Thelen umarł w 2008 roku. Cztery lata wcześniej Arno Giese, dziennikarz prasy polonijnej, napisał książkę „Kurier kardynała”. To opowieść o okupacyjnej działalności księdza Pawła Matausza i Urbana Thelena.

Promocja książki odbyła się w Gnieźnie. Zbiegła się z ważną uroczystością – tego samego dnia Urban Thelen dostał medal za zasługi dla archidiecezji gnieźnieńskiej.

– W okrutnym czasie narodowego socjalizmu przybył pan tutaj w mundurze niemieckiego żołnierza. Ale pod tym mundurem, który budził u ludzi lęk i przerażenie, krył się szlachetny człowiek i prawdziwy chrześcijanin – mówił do niego arcybiskup Gniezna. Dodał: – Dobrzy ludzie są wszędzie.

Uroczystość nagłośniły media. O sierżancie Wehrmachtu, który uratował święte relikwie, dowiedziała się cała Polska.

Dlaczego tak długo milczał? – pytali Thelena dziennikarze.

Odpowiedział: – I tak nikt by mi nie uwierzył.

Z Gniezna pojechał do Inowrocławia. W gotyckim kościele Świętego Mikołaja usiadł znów przy organach.

*Cytaty z wypowiedzi Marii Magdaleny Frencl pochodzą z książki Arno Giese „Kurier kardynała”.*



NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO  
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

HANNA MAKURAT

Ò MIŁOSCĚ MÓWIĄ LENO SZEPTĄ

ò miłoscë mówiã leno szeptã  
cobë nie przestraszëc ji subtelnëch pñaczów  
zbëtniã smialosã i niepòkòrà  
bò je jak łagodnò łania  
nie ùmie sã brónic przed jinwazjã krziwdë  
a zarazã òtmikò nôwëzsã jawernotã  
czasorëmnotã bez kònturów i graíców  
to bezdennò sadzawka nôlepszych wseczëców  
jakò nie wëczerpie sã nigdë  
bò czim wicy dówòsz siebie  
tim wicy szczescò do cebie przëchòdò  
miłota je dëchòwã kòmuniã cał  
to niewëjasniony empiriczno pòcyg dwóch serc  
chemiò ani fizyka nie òdkrëje miłotë  
bò to materia dërzeniówò dëchòwò  
kòchanié dwóch dëchów  
dërëjącëch prze se na wiedno  
jak Rocznik z Rocznicã  
w gãstwinie wierz  
miłota niezniszczalnò je, nie ùmierò nigdë  
to platońsczé pòrëszenie  
je za chitré cobë przëzëc

## MLÉCZE

dmùchawce są òddechã gwiónzd  
niesonym przez wiatr  
wrażlëwim jak pòcygniãcé skrzëpiców  
w królestwach łåk  
scelã sã złoté główczy mléczów  
sã delikatné jak kùszniãcé anioła  
nietrwałé jak krople rosë ò pòrankù  
w jich mlécznëch sokach plëną òblóczi  
do mléczów mòżesz sã przëczulëc  
jak do pòezji w ksãżëcowã noc

## MÒRSCZÉ AMÒRĚ

kòchanié je tak pëszné jak kaszëbsczé naje mòrze  
miłota niczim wòda chitrò rozlëwò sã  
pò wszëtczych fragmentach cała umëslu i dësżë  
wałë pòsëwają sã jakbë pagórczi trosczi  
i górë staraniów  
dozdrëwającë do rozlëwù czëłoscë  
mòrze jãczy czëj kòchòsz rozkòszno  
czipi lubiežno i pòzãdlëwò  
priszczë wszëtczima zmëslama wsczëców  
wëlëwò sã brzëgå czëj je dotikòsz  
i gładzy gładã pò pòliczkach i skróniach  
mòłknié w miłotnym przëgruzdżënim

## FILOZOFIÒ ANIELSCZI ÒBECNOSCĚ

zagłãbionô w nostalgii za aniołama  
jô pòczęła òddech serafina  
òbjął mie w swòje kòłana i remiona  
z szëfladë wëcygnął z fermeńtu nudë  
mòje cało  
pòrwól rozkòszno  
w farwną figùrã anielszczégò wzlotu  
na przechadzkã lazurówim płotã  
te skrzydlaté jistotë  
aniołë mòżno pòtkac  
nad mòstã malowónym  
sniã w ceniach krzeszni  
srebrzésté nócã piesnie  
w metafizycznoscë bòszi  
filozofiò anieli òbecnoscë je prostô  
aniołë są leno cëchim przëczinkã  
do manifestu całégò kòntekstu  
nieba bezpòstrzédno òczama niewidzalnégo  
ale na gwës dzes tam dérëjącégò

NAGRODA ODDZIAŁU MIEJSKIEGO ZRZESZENIA  
KASZUBSKO-POMORSKIEGO W LĘBORKU

JULIA FORMELA

DZECTWÒ

Czë pamiãtôsz te zabawë do wieczóra?  
Czedë całą noc të chcôł pòd gwiondzóma stać?  
Terò sã nie rëszisz òd telewizóra,  
nie chcesz sã szëkac, ani w klasë grac!  
Czë pamiãtôsz te zabawë na pòdwòrzim?  
Ta jazda na kòle, ògniskò i spiéw,  
Jak të chcôł jezdżec na zgrzëbcù?  
A tatk nie chcôł gò dac?  
Jò chciała miec swòje misie i lale,  
dlò niech robic wëstòwné bale...  
Jak swiat bël piäkny  
W ten dziecny czas,  
Nie bëło zwanë,  
ceszył sã kòzdi z nas.  
Jakò to szkòda,  
że dzectwò je tylkò rôz ...

## SWIAT DO GÒRĚ NOGÓMA

Jednégo dnia – niespòdzónié  
mój tatk przëniósł kòta.  
Nie widzało to sã mëmce  
- Pò co nama taczi kòt?!

A tatk gòdò:  
- To doch je prostò sprawa,  
pies to òbòwiązk,  
a kòt, tylkò zabawa!  
Tej më gò nazwëłë „Pùsia”,  
bò miała pùszk w ùszach...  
òna nóm ùcékała,  
pò płotach i dakach skòkała,  
ùcemiãga je z nią –  
tak jak mëma gòdała.  
Terò nie jesmë sami, bò kòta móma  
a naji swiat je do górë nogóma!

## MÙZYKA

Mùzyka ...  
Pytòsz co to taczégò?  
To spiëw ptòków, przë blòskù słuńca wschòdzącégò.  
To mòrszczé fale, co ò sztrađ biją ...  
Szëmiący, a jakno piãkny òdgłos wëdòwaja.  
To wszëtko co wòkòł siebie czëjesz.  
Mùzyką nawetka nazwiesz zwàk cësze.  
I pòszëm wiatrù letczy,  
I rodë zwãczy  
I jinstrumëntów głosë,  
I lëdzcé losë,  
Nawetka serca bicé,  
Bò mùzyka ... to zëcé!

## WSPÒMINCZI

Czedë na cerpiskò wchòdómë  
ò tëch co òdeszlë wespółminómë,  
że tuwò bëłë, a ju jich ni ma...  
że tylko òsta, ta zëmnò mòdżiła.  
Òstalë pò nich cepłé wespółminczi,  
i w mòdlëtwie wëpòminczi.  
Przëklãknã i mòdlã sã za nich w pòdzãce,  
Swòje wszëtczé trosczi odkłòdóm w Bòga rãce.  
A to w lëdzcé, na grobë wejrzenié,  
Przëwòłò kòzdémù miłé wespółmnié.  
Bò chòc dësza lëdzkò tak dalek òdpliwò,  
tuwò na zemi jesz lza za nią spliwò.

**Do druku przygotowała**  
MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w LĘBORKU  
[www.biblioteka.lebork.pl](http://www.biblioteka.lebork.pl)

Rysunki  
Katarzyna Studzińska

ISBN 978-83-60731-15-4

**Wydano nakładem:**

Miasta Lęborka

Oddziału Wojewódzkiego Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku  
Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku

**Projekt składu i druk**

DRUKARNIA BOXPOL

ul. Wiejska 28, 76-200 Słupsk

tel./fax 59 842 43 71

e-mail [boxpol@post.pl](mailto:boxpol@post.pl)

[www.boxpol.pl](http://www.boxpol.pl)